

1565/-18

Z rodzinnych stron  
**MIKOŁAJA ZYNDRAMA**  
wódza z pod Grunwaldu



Z rodzinnych stron  
**Mikołaja Zyndrama**  
wódza z pod Grunwaldu

**Stary-Sącz, Gołkowice, Jazowsko, Maszkowice, Łącko, Czarniec i Zabrzeż.**

Zysk czysty przeznaczony na dochód  
ubogiej dziatwy szkolnej w Łącku.

1910. NAKŁADEM RODAKÓW  
Skład w księgarni Feliksa Westa w Brodach.

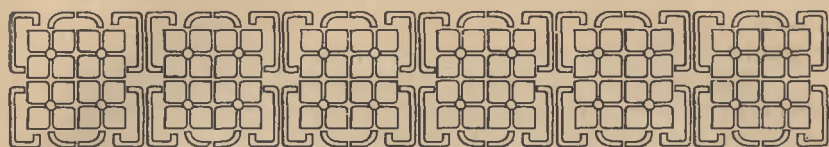
Hilob

496498

II

K. 48/11565  
M. 8. 751





## W 500 letnią rocznicę pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem.

**H**ej rodacy z pod Gewontu, Beskiðu i Pienin, oto zbliża się wielkie narodowe święto, 500 tna rocznica pogromu Krzyżactwa pod Grunwaldem, — oto Polska cała święci ten uroczysty dzień orężnego tryumfu, niechże nie braknie i Was braci z pod zboczy granitowych gór!

Od wieków gnębił nas i ciemniył przemożny Niemiec, kraðł zagon po zagonie, nastąpił na gardło słowiańskich plemion, wydarł naszym kniaziom i królom szmat najcudniejszej, nadwiślańskiej i nadodrzańskiej ziemi — a potem zagrabił królestwo nasze w niewole, zhañbił nas i skrzywdził, — a dziś wyðziera nam, jak przed wiekami resztę ziemi, każe jak wędrownym cyganom mieszkać na wozach, pragnie wykraść z dusz najdroższy skarb narodu, — piastowskie słowo i rodzinną mowę!

Protestem przeciw temu bezprawiu, przeciw gwałtom, krzywdom i rozbojom niech będzie tryumf całego narodu w rocznicę wielkopomnego boju, niech będzie krzyk ufności i wiary w życie, dobytý z serc i piersi milionów, — z wnętrza szarych chat chłopskich: »nie dajmy się! — Wszak to wśród waszych szarych chat szukała ochrony św. Kinga, i król Jan Kazimierz, wszak i synowie Gewontu, Beskiðu i Pienin ginęli na polach Grochowa i błoniach Warszawy, wszak to chochołowscy chłopi wzniesli sztandar wolności na Podhalu, wszak oni to szli i ginęli chlubną śmiercią w 63 roku. Cześć pamięci zmarłych!

Z tryumfem narodu niech złączy się i okrzyk z rodzinnych stron wielkiego wodza z pod Grunwaldu, Zyndrama z Maszkowic, niechże i rodzinna ziemia Bohatera weźmie udział w narodowym tryumfie.

Wszak w bitwie tej brali udział pradziadowie nasi, wszak z naszych stron pochodził Mikołaj Zyndram, kasztelan krakowski, pan możny i dzielny, który w tym epokowym boju dowodził chorągwiami

polskimi i jako jeden z najdzielniejszych przyczynił się wybitnie do pogromu Krzyżactwa w tej chlubnej walce.

Któż więc byli Krzyżacy i czemuż dzień ich klęski napętnia nas taką radością? Już od lat tysiąca uderzali na naszą ziemię Niemcy, od lat tysiąca dławili się ludźmi słowiańskimi w ich żelaznej obręczy, walczyli z nimi Mieszko I, Bolesław Chrobry, Śmiały i Krzywousty, stoczono z nimi niejedną bitwę krwawą, dopóki Polska była silnym i jednolitym państwem, aż wreszcie nadeszły czasy podziału po śmierci Bolesława Krzywoustego.

Krom walk z Niemcami, musiała rozdzielona i uszczuplona Polska prowadzić jeszcze krwawe boje z sąsiednimi, pogańskimi plemionami okolnemi, a to z Prusakami, Jądzwingami itd.

Zwłaszcza dawała się krwawo w znaki potęga Prusaków Mazowszu.

Nieszczęśliwe Mazowsze było jednym z potężniejszych drobnych księstw polskich, na które rozpadła się wielka niegdyś spuścizna Bolesława Chrobrego.

Książę ówczesny Mazowsza, Konrad nie mógł sprostać ich łupieżczym napadom i on to postanowił, za podszeptem nadwornych Niemców, sprowadzić zakon niemiecki Krzyżaków do Polski. —

Krzyżacy był to zakon rycerski, mający niegdyś bronić Ziemi Świętej i pielgrzymów tam się udających przed naporem Turków.

Rycerstwo jednak zachodnie nie sprostało swemu zadaniu, głównie z powodu niekarności i grób Chrystusa został w końcu zdobyty przez fanatycznych wyznawców Mahometa.

Gdy więc Krzyżacy po ostatecznym pogromie musieli Ziemię Świętą opuścić i szukali nowego jakiegoś pola do popisu, sprowadza ich książę Konrad mazowiecki do Polski w r. 1228, by bronili granic jego księstwa przed pogańskimi Prusakami!

Zarazem nadaje im książę obszerne i urodzajne ziemie chełmińską i nieszkańską w używanie tymczasowe, w zamian za co spodziewał się od nich pomocy i obrony.

Niestety!

»Przebrzydły zakon podobny do smoka« jak mówi nam wielki poeta A. Mickiewicz, począł się rychło rozwielać, paść się w skarby i bogactwa, ale na własną korzyść.

Wznosił kościoły, ale i kamienne twierdze, krzewił wiarę Chrystusową, ale ostrzem miecza, rósł w ziemię i powiaty, ale nie podbił ich dla Konrada.

Protesty Konrada nie pomagały. — Skargi, napomnienia i rozkazy książęce przyjmowali Krzyżacy obojętnie, trzeba było rozprawić się z nimi orężnie o swą krzywdę, ale siła uszczuplonej Polsce ani księciu nie stała.



I oto nadeszły straszne czasy dla Prus, Żmudzi i Litwy, które nawracano teraz ostrzem miecza, prawem żelaznej pięści, a nie ewangelią Chrystusa.

Półtora wieku toczyły się te krwawe zapasy między skazanymi niemal na śmierć szczepami, a potężnem Krzyżactwem, gromadzącem pod swoim hełmaństwem rycerstwo z całej Europy, około dwóch zaś wieków krzywdził zakon Polskę, rozpierając się czemraz szerzej na jej ziemiach, aż wreszcie wybiła na zegarze wieków godzina pomsty!

Znękana i skołatana Litwa schroniła się wreszcie na łono Polski, jej wielki książę Jagiełło został królem polskim, Litwa uwierzyła w boskie słowo Chrystusa, głoszone nie szczękiem oręży, ale ustami kapłanów polskich.

Zakon zachwiał się w postawach. — Czem-że by było to świetne rycerstwo, Zakon pasożyt, w chwili gdy Litwa przyjęła chrześcijaństwo?

Zakon przecież z tą chwilą tracił urok żołnierstwa Chrystusowego, tracił prawo do bytu w dziejach, musiał oddać zagrabione ziemie, dane mu w czasowe posiadanie, — tego Zakon przeboleć nie mógł.

Nie mógł, bo już nie służył ewangelii Chrystusa, lecz swojej chwale i potędze i dlatego nie uznał chrztu Litwy, ale podniósł na nią zaborczy oręż!

Z drugiej strony znów krzywd było już nadto!

Jeżeli rozdzielona Polska nie mogła się obronić przemocą łaskomych rycerzy — mnichów, jeżeli Polska Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego nie mogła im sprostać, to mogła się na to ważyć potęga zjednoczonej Polski i Litwy w osobie królewskiej Jagiełły, silne i potężne państwo polsko-litewsko-ruskie.

Krzywdą Polski wezbrała już ponad brzegi. Zakon odepchnął ją od morza, zagrabił jej ziemie, wzrastał kosztem dziedzin Bolesława Chrobrego, i jeszcze nieraz w dowód wdzięczności pustoszył jej własne ziemie Wielkopolskę i Mazowsze.

Ponadto rozpanoszony Zakon stawał zawsze po stronie jej wrogów, poprzek jej interesom żywotnym, paszczą wiecznie niesytą czyhał na jej zglisnę.

Nie pomogło sto krwawych bitew, staczanych niemal codziennie, nie pomogło zwycięstwo Władysława Łokietka pod Płowcami, musiało przyjść wreszcie do krwawej, stanowczej rozprawy.

Gdy bowiem Jagiełło został królem polskim, krzywdą Polski stawiała się krzywdą Litwy, krzywdą Litwy krzywdą Polski i oto gdy te dwa zjednoczone narody stały się razem potęgą, musiał nadejść dzień i krwawej rozprawy, za dwa wieki krzywd, gwałtu i poniżenia.

To też stało się w dniu 15-go lipca 1410 r. Wtedy to przyszło do wiekopomnego boju, który tak świetnie opisał wielki nasz pisarz Sienkiewicz w swojej powieści, »Krzyżacy«. — Otóż opis tej bitwy przytoczymy w wyjątkach z dzieła tego wielkiego pisarza:

---

Bitwa miała łađa chwilę rozciągnąć się i rozpałić na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń św. Wojciecha. Sto tysięcy pokrytych żelazem głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

«Boga Rodzica, Dziewica  
Bogiem sławiona Marya!  
U twego syna, Hospodyna  
Matko zwolena, Matko jedyna  
Ziści nam — spust winom!  
Kyrie Eleison!«

I wraz moc wstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna zwycięzka siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się rozłaczć po niebie. Zadręgały kopie w rękach rycerzy, zadręgały chorągwie i chorągiewki, zadręgało powietrze, zakolebały się gałęzie w borze, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać jakby powtarzać jeziorom i łąkom i całej ziemi, jak długa i szeroka:

»Ziści nam — spust winom!  
Kyrie Eleison!«

A oni śpiewali ɔalej:

Twego Syna Krzcziciela, zbożny czas  
Usłysz głos, napelnij myśli człowiecze;  
Słysz modlitwę, jenże Cię prosimy,  
Daj na świecie zbożny pobyt,  
Po żywocie rajski przebył,  
Kyrie Eleison!«

Echo powtórzyło w odpowieǔzi »Kyrie Eleison;« A tymczasem na prawem skrzyɔdle wrzała juź bitwa zacięta i zbliżała się ku sroǔdowi coraz barɔziej, łoskot, kwiki koni, krzyki okropne mężów mieszały się z pieśnią. — Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym tam ludziom zabrakło tchu i w jednej z takich przerw raz jeszcze można było usłyszeć grzmiące głosy:

»Adamie ty Boży kmieciu  
Ty siedzisz u Boga w wiecu  
Domieść nas swe ɔcieci,  
Gɔdzie królują święci anieli!  
Tam radość,



Tam miłość,  
 Tam widzenie Twórcy, anielskie, bez końca.  
 Kyrie Elejson!«

I znów runęło echo po borze: »Kyrie Eleisoon!« Krzyki na prawem skrzydle wzmogły się jeszcze, lecz nikt nic wiedzieć ni rozpoznać, nie mógł co się tam dzieje, albowiem mistrz Ulrych, który patrzył z góry na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzę Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków. A zaś do polskiego hufca »czelnego« w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypaść jak grom Zyndram z Maszkowic i ukazawszy ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, zakrzyknął tak donośnie, że aż konie poprzysiały w pierwszym szeregu na zadach;

W nich bij!

Więc rycerze pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnawszy przed się włócznie ruszyli.

....Lecz zwycięstwo poczęło się chylić ku Niemcom..., już wszczyną się zamieszka w ławie polskiej, już rozszalałe w boju zastępy krzyżackie, poczęły jednym głosem opiewać pieśń tryumfu:

Christ ist erstanden!...

A w tem stało się coś okropniejszego. Oto jeden leżący na ziemi Krzyżak rozpruł nożem brzuch konia na którym siedział Marcin z Wrocimowic, trzymający wielką, świętą dla wszystkich wojsk chorągiew krakowską z orłem w koronie. Rumak i jeździec zwalili się nagle, a wraz z nimi zachwiała się i padła chorągiew: W jednej chwili setki żelaznych ramion wyciągnęło się po nią, a ze wszystkich piersi niemieckich wyrwał się ryk radości. Zdało im się, że to koniec, że strach i popłoch ogarnął teraz Polaków, że przychodzi czas klęski, mordy i rzezi, że już uciekających tylko przyjdzie im ścigać i wycinać. Ale oto właśnie czekał ich straszny i krwawy zawód.

Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą, jak jeden mąż wojska polskie, na widok upadającej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczce był nie strach, ale wściekłość.

Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze, rzucili się, jak lwy rozżarte ku miejscu, najstraszniejsi mężowie z obu armii i rzekłbyś 'burza rozpętała się koło chorągwi.

Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmigały ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łoskot, jęki, dziki wrzask wyżypanych mężów, zlały się w jeden przeokropny głos, taki, jakby potępieńcy oderwali się nagle z głębi piekła.

Ustała kurzawa, a z niej wypadły tylko ośleple z przerażenia konie bez jeźdźców, z krwawymi oczyma i rozwianą dziką grzywą.

Lecz trwało to krótko.

Nie jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita chorągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinął ją i rozkwitła wspaniale jak olbrzymi kwiat, jako znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Więc ciężki niespokój ogarnął serca przywódców krzyżackich, gdyż zrozumieli, że cały ich ratunek tylko w Mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi.

On zaś, patrząc z góry na bitwę, zrozumiał także, że chwila nadeszła i ruszył swe żelazne hufce tak, jak wichher porusza ciężką niosącą kłęskę chmurę gradową.

Lecz wcześniej jeszcze, przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku czuwający nad wszystkim i baczny na przebieg bitwy **Zyndram z Maszkowic**. Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zacieźnych Czechów, jedna z nich zachwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona w porę, została na miejscu i rzuciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową słabość. Lecz główne siły składały pułki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych, ubogich władyków, z piechot wiejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny, ciężkie oszczepy i kosy, osadzone sztorcem na drągach.

Gotuj się! gotuj; — wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując, jak błyskawica wzdłuż szeregów.

— Gotuj! — powtórzeli mniejsi przywódcy, więc kmiecie, zrozumiałwszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dziń, cepów i kos o ziemię i przeżegnawszy się krzyżem świętym poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu.

W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachołek z rozkazem od króla i szepnął mu coś głosem do ucha, a on zwróciwszy się do piechurów machnął mieczem i zakrzyknął;

Naprzód! naprzód! ławą! równo! — rozległy się wołania przywódców: Bywaj! na psubraty! w nich! — ruszyli.

By zaś iść krokiem równym i niełamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać: Zdro — waś — Ma — ry — ja — Ła — skiś — peł — na Pan — z — To — ba!!!

I szli, jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy kmiecie z Małopolski i Wielkopolski i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do królestwa i Mazury z pod Ełku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozbiły się od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

Bij! — zakrzyknęli dowódcy.

Uh!

I stęknął każdy, jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzaski i krzyki wzbiły się, aż pod niebiosą.

Bitwa zmieniła się w rzeź i pościg, kto nie chciał się poddać zginął. Wiele bywało w onych czasach bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak strasznego pogromu.

Padł pod stopami wielkiego króla nie tylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszym rycerstwem wspomagały oną »przednią straż teutońską«, wżerającą się coraz głębiej w ciało słowiańskie.

Z siedmiuset białych płaszców, przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu.

Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekuistym śnie, na onem krwawem boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernem wojskiem krzyżackim, wpadły wszystkie w krwawe i zwyciężkie ręce Polaków.

Nie ostała, nie ocalała się ani jedna i oto rzucali je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, który wznosząc pobożnie oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem »Bóg tak chciał!«

Stawiano też przed majestatem Pana przedniejszych jeńców, Abdank Skarbek z Gór przywiózł Szczecińskiego księcia Kazimierza, Trocnowski, rycerz czeski, księcia na Oleśnicy Konrada, a Przedpełko Kopidłowski herbu Dryja, mdlejącego z ran Jerzego Gersdorfa, który pod chorągwią św. Jerzego wszystkim gościom rycerskim przywodził.

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom, a teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy klękając przed majestatem błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armia krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła ogromny oboz krzyżacki, a w nim prócz niedobitków, niepoliconą

ilość wozów wyładowanych pętami na Polaków i winem przygotowanym na wielką ucztę po zwycięstwie!

I nie tylko przeniewiezczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas jak fala nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie.

Więc Tobie wielka, święta przeszłości i Tobie krwi ofiarna niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy.«

Cześć więc krwi ofiarnej bohaterów i cześć wielkiemu wodzowi z pod Grunwaldu Mikołajowi Zyndramowi z Maszkowic, wodzowi włodyków i kmieciów polskich! — Cześć, bo oto dziś nieszczęśliwsi niż kiedykolwiek pragniemy otuchy i pokrzepienia, by trwać, by żywić ducha i serce, by nie upaść pod brzemieniem nieszczęść i przemocy.

A przede wszystkim Wy synowie kmieci z pod Grunwaldu, stawajcie w potężne hufy w jeden zastęp ogromny a nie damy się i nie zginiemy!

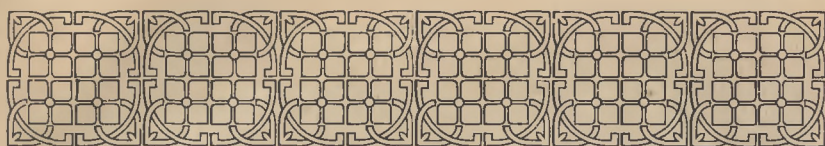
Nie zatracajcie przecudnych waszych strojów i gwary ludowej, nie zatracajcie duszy bohaterskiej, wielkiej, nie zatracajcie wiary i prostoty, ale dzierżcie się górnych hasła i górnych sztandarów. Uczcie wy matki górskie dzieci swe kochać rodzinny zagon i ziemię, uczcie je boskich słów modlitwy w ojczystym języku, jak matki poznańskie a gdzie trzeba to stań Ludu polski, jak lwę na wyłomach i czyń!...

Bo wiedz, że przyjdzie czas, a z każdego ziarna twych rąk zrodzi się pełny złoty kłos, przyjdzie czas i dzień słoneczny żniwa, ale trzeba ciężkiej, długiej i ofiarnej pracy, przyjdzie czas i przyjść musi, a zejdzie i Wam Bracia Rolnicy, jutrenka swobody, a za nią zbawienia słońce»!

Do pracy, więc ludu do pracy, to jedna godna odpowiedź niewoli, — protest czynu! —







## Z rodzinnych stron Zyndrama z Maszkowic.

Opis okolic, z których pochodził wielki wódz z pod Grunwaldu,  
Zyndram z Maszkowic.

Rozpocznijmy od Starego Sącza; Miasto to sięgające początkiem zamierzchłej przeszłości, rozłożyło się na wzgórzu. Królują nad niem rozmiarami starodawna fara z r. 1200 i kilkadziesiąt lat za ledwie od niej młodszy klasztor św. Kingi. Wąską bezludną niemal ulicą zbliżamy się do fary.— Obok niej wznosi się przed laty 35 ciu parterowa, a dziś już piętrowa szkoła, w której — zacni nauczyciele, jak Sadłowski, Mościcki, Reinfus, Migdał i Chmura wychowali całe zastępy młodzieży, garnące się później do gimnazjum w Nowym Sączu.

Tu także uczęszczali do klasy 3 i 4-ej wszyscy chłopcy parafii, łąckiej, chcący iść dalej do gimnazjum w Nowym Sączu.

Mieszczanie ówcześni to lud spokojny, pracowity, i serdeczny, a przytem na wskroś religijny.

Strojem starszych w porze letniej był szary, długi surdut niemieckiego kroju, — polskie buty, kapelusz, lub kaszkieł, mężatki zaś stroiły się w czepce krakowskie, wolne aksamitne kaftaniki, duże, a drogie korale. Męska młodzież rzemieślnicza ubierała się w granatowe czamary.

Mieszczanie odwiecznie zajmowali się rzemiosłem, jak garn-carstwem, szewstwem, rymarstwem, powroźnictwem, garbarstwem i piekarstwem, prócz tego stale rolnictwem.

Niedziele i święta spędzali na nabożeństwach w farze i klasztorze, przyczem najbardziej lubili nieszpory i polskie psalmy Kochanowskiego, na które gromadzili się licznie. Śpiewali naprzemian po zwrotce mężczyźni i kobiety. Po nieszpórach wyruszali wszyscy na rynek, gdzie zasiadali ławy na szerokich podsieniach, młodzież zaś przechadzała się zwartymi szeregami po rynku i wtedy miasto przybierało nastrój uroczysty, było gwarne i rojne. W dzień zwykły było inaczej. Mieszczanie zajęci byli szarą codzienną pracą i miasto wymierało.



Chętnie oddawali oni synów do szkół, ich marzeniem zaś było, by dziecko wyszło na księdza. Bez liku też zawsze bywało tu niegdyś prymicij. • Gdy któryś syn nie chciał iść na teologię, mawiano o nim, że się »zepścił«.

Ruch umysłowy był tu bardzo mały, codzienną lekturę stanowiła książka do nabożeństwa, czasem kalendarz, stale sennik egipski.

Mieszczaństwo mimo tego było dumne ze swego pochodzenia i rzemiosła i z wysokości tej »arystokratycznej« pogardę patrzyło na garstkę ówczesnej inteligencji, zwąc ją »ciarachami«.

Przecudny w tem starem mieście jest klasztor św. Kingi. Stary kościół tonie niemal w otaczających go piętrowych budynkach,— we wnętrzu utrzymany jest czysto, pięknie i schludnie. Jest tu tablica pamiątkowa królowej Jadwigi żony Łokietka, w języku polskim. Tu przepędziła żywot św. Kinga, która choć węgierka modliła się tu ze swemi siostrami po polsku. Ona to zapisała wszystkie później wymienione wsie na rzecz klasztoru. Tu gromadziło się do niedawna mieszczaństwo, śpiewając rzewne, polskie psalmy Kochanowskiego. Koło r. 1893 psalmy te usunięto z kościoła farnego i klasztornego i wprowadzono nieszpory w języku łacińskim.

Mieszczaństwo, które ukochało polskie psalmy, usunęło się powoli od łacińskiego nabożeństwa i oba kościoły świecą pustkami. Gdy przed kilku laty zwiedzałem klasztor starosądecki, trafiłem właśnie na łacińskie nieszpory i nie chciałem wierzyć — że ten przepętniony niegdyś klasztor, był pusty. Przy ołtarzu klęczał ksiądz z chłopakiem, na chórze mozolnie wyśpiewał samiuteńki organista łacinę, jedna żebraczka pod chórem modliła się na koronce. Gdy po nieszporach zapytałem kościelnego dłaczego tak mało ludzi, odpowiedział mi sam, że łaciną wypędzono lud z kościoła, a gdy wspomniał czyby nie lepiej było wprowadzić nieszpory polskie kościelny zamilkł i odszedł.

Dziwna rzecz, że miasto tak rzemieślnicze nie wytworzyło dotąd przemysłu fabrycznego, a jeszcze dziwniejsze, że wielu, którzy po skończeniu niższego gimnazjum wrócili tu do domu i objęli pracownie po rodzicach, nic dla rozbudzenia przemysłu nie zrobili, przeciwnie pozbyli nieraz za bezcen warsztaty ojcowskie, zadowolniając się próżniaczem stanowiskiem urzędniczem w banku lub magistracie. Smutniejszym jest jeszcze, że wielu rzemieślników porzuca swe warsztaty w lecie, kupuje »landarę« i konie i przewozi gości do Szczawnicy.

W ten sposób tutejszy mieszczanin miewa trojakię najmniej zajęcie; na wiosnę jest rolnikiem, w lecie doróźkarzem, w zimie i wolnych chwilach dopiero rzemieślnikiem.

Nic też dziwnego, że więcej myślący, oszczędni i pracowci

żydzi mają tu szerokie pole do popisu. To też rozrodzili się i rogościli szeroko. Kiedyś było ich tu trzy rodziny, dziś nabyli większą część domów w rynku, wkrótce posiedzą całe miasto.

W ostatnich czasach wzmogła się tu liczba urzędników, osiadło kilku adwokatów, założono seminarjum nauczycielskie, i to wpłynęło bardzo dodatnio na rozwój umysłowy mieszczan. Towarzystwo szkoły ludowej pracuje tu z zapalem.

W ostatnich czasach założono tu księgarnię p. Jakubowskiej, zbudowano piękny »Sokół« i t. d.

W Starym Sączu żył długie lata autor Sądeczyny i Arjan polskich — Szczesny Morawski. Tu napisał wiele dla ukochanej Sądeczyny i tu zmarł 10 kwietnia 1908.

Drogą z rynku skręcamy na zachód w dolinę bystrego Dunajca i stąd roztacza się nam przepyszny widok na Kępaki i Lamtacze. O kilka kilometrów w dali widzimy już starożytny kościół i osadę w Podegrodziu. Kościół ten, to najstarszy kościół w ziemi sądeckiej, wystawiony jeszcze w r. 1014, bogato wyposażony. Wieś to starożytna, bo już za czasów Bolesława Wstydliwego istniała i wliczono ją wtedy w poczet dóbr klasztornych.

Archiwum tego kościoła mieści w sobie wiele aktów arjańskich, z których Szczesny Morawski czerpał materiały do swojej pracy o »Arjanach«.

Chłop w chłopu tu rośli i silni, jak dąb, to też nie dziw, że w czasie najazdu Szwedów pod pułkownikiem Forgwellem (13/12 1655), przybyli Podgrodzianie na pomoc miastu, poczem pobiwszy wraz z innymi najeźdźnika wrócili do swej wsi.

Sama nazwa wskazuje, że było tu grodzisko pod grodem St. Sącza, które miało za zadanie, strzedz przed napadem wroga.

Dziś zawiązał się tu, jak i indziej w Galicyi pierwszy teatr ludowy w Sądeczyźnie, założony pracą i zasługą profesora tamtejszego Zygmunta Brandysa. Lud zajmuje się żywo teatrem, utrzymując przez to czarowną pieśń ludową i podania, ową »arkę przymierza między starymi i nowymi laty«, i miast błąkać się po karczmach, spędza mile i przyjemnie czas na grywaniu sztuk i sztuczek ludowych. Teatr ten zjeżdża często do Nowego-Sącza zjednywając sobie serca i uznanie. Oby przykład ten znalazł naśladowanie wszędzie!

Dokoła wsi szumią siwe fale Dunajca, wijąc się kręto wśród urodzajnych, słonecznych niw. Temi to równinami miał się przekradać, jak lis cichaczem Ścibor po bitwie pod Grunwaldem, ominąwszy grodzisko ziemne między Obidzą, a Brzyną.

Ów bowiem wiedząc, że król Jagiełło i wszystkie wojska zajęte są układami, z co dopiero pobitymi Krzyżakami, napadł na Stary

Sącz na czele swych opryszków łupiąc miasto i pałac. Pobity jednak umknął na Węgry, jako poplecznik cesarza Zygmunta.

Po lewej stronie gościńca wznosi się czarna ściana lasu świerkowego, jest to młody las »kameralny« założony na miejscu dawnego lasu królewskiego, złożonego z cisów, dębów i jaworów. Wśród tej panoramy rozciąga się wieś »Mostki«, dalej zaś spotykamy wieś »Gołkowice«, budowaną na sposób niemiecki, domy tu murowane stoją rzędem obok siebie. Za karczmą w prawo spotykamy znów duży, drewniany, dachem kryty most na Dunajcu, którego fale grają nam całą drogę, uderzając srebrną pianą w przydrożne brzegi.

Po drugiej stronie mostu na wzgórzu tuż nad drogą wznoszą się na górze zwanej »Glinka« ruiny »Sąddeckiego grodu«. Samo grodzisko zajmuje przestrzeń przeszło 3-morgową. Od zachodu, gdzie przystęp był najłatwiejszym, bronił grodziska podwójny wał, kończący się z jednej strony urwiskiem, z drugiej był broniony kopcem, na którym mogła się wznosić strażnicza wieża.

Na najwynioślejszej części wzgórza południowo-wschodniej jest trójkątna wyniosłość, gdzie prawdopodobnie wznosiła się główna strażnica, czuwająca nad bezpieczeństwem całego grodziska. Wyniosłość ta zajmująca prawie 30 sążni kwadratowych, stanowi główną twierdzę grodzką. Twierdza ta przystykając do potężnego wału głównego, otoczona ścianami do ośmiu sążni wysokimi, nie łatwą była do zdobycia<sup>1)</sup>. Niedaleko stąd na prawo w dolinie rzeczki Słomki rozciąga się urocza wioska Świdnik, tam w parku p. Waltera znajduje się po dziś dzień kaplica zbudowana przez Marcina Rogowskiego w r. 1620, mieszcząca w sobie groby Arjan. Pan Walter otacza opieką tę historyczną pamiątkę, co należy podnieść z uznaniem.

Powyżej stąd znajduje się wioska »Łukowica«, niegdyś własność Arjanki Doroty Gabłońskiej, a około 2 klm. wyżej wieś Przyszowa, w której Arjanie Krzesze, Podowscy i Wierzbiety utrzymywali drukarnie.

Droga dalej w górę Dunajca wiedzie wśród nagich kamienistych wierchów, okrytych gdzieniegdzie jeno karłowatą i rozkustraną sosną, która tu jak pustelnik czeka nieraz kropki dżdżu, w rozpalonych słońcem kamieniach. Stąd już widać szeroką równinę, na której rozsiadła się wieś Kańczka, a dalej fabryczne, a przecież urocze Jazowsko. Wieś to już stara, skoro wspomina ją już Długosz (Liber benef.) mówiąc tu o kościele drewnianym Narodzenia Najświętszej Panny. Na tem miejscu wznosi się dziś kościół murowany, wystawiony staraniem księży Owsianków, rodaków z tej wsi koło roku 1700.

<sup>1)</sup> Szczęny Morawski: Sądeczyna str. 14 i nstp.

Jest tu szkoła parafjalna i szpital, założone i uposażone wieczycie przez dawniejszych dziedziców Wyszokowskich.

Tu na szczycie góry zwanej »Skałka«, wysokości 1168 m. gdzie schodzą się lasy Jazowskie, Szczawnickie i Starosądeckie, jest jaskinia, w której ukrywali się dawniej rozbójnicy, siejąc postrach na całe Podgórze i przyległą okolicę Spiża, bardzo blisko stąd położonego. Najślawniejszy z tych wszystkich zbójów, to ich przywódca Józef Beczyński, stracony wraz z trzema innymi zbójami w Krakowie w r. 1735. Podhetmaniego jego Lazarczyka z Tylmanowej stracono w rok potem z sześcioma towarzyszami w Lewoczy na Węgrzech.

Lecz i potem, a nawet w pierwszych dziesiątkach tego wieku, wydarzały się w tej lesistej okolicy częste rozbaje, napadano jednak już tylko przeważnie na samotnie mieszkających bogatych żydów i chłopów.

Nazwa Jazowska ma pochodzić od wielkiego jazu, zamykającego całą szerokość Dunajca od brzegu do brzegu, założonego tu w bardzo dawnych czasach dla połowu łososi, ciągnących na tarło w górę rzeki, wielokrotnie przez rzekę niszczonego i napowrót potem z wielkim trudem odbudowywanego.

Ów jaz istniał jeszcze z początkiem ubiegłego stulecia przynosił jednak więcej szkody przez zatapianie i obrywanie pól, niż pożytku z połowu ryb.

Jazowsko było w XV. wieku dziedzictwem Wiernków z Gaboria w XVII. i z początkiem XVIII. w. w rękach ks. Lubomirskich.

Od roku 1700 — 1716. przechodzą tędy na Spiż i napowrót wojska koronne, ruskie, szwedzkie i rosyjskie, które dwór i wieś niesłychanie zniszczyły, przedewszystkiem zaś wiele ucierpiał dwór od chorągwi ks. Teodora Lubomirskiego. W r. 1717. ks. Aleksander Dominik Lubomirski oddaje Jazowsko porucznikowi swojej chorągwi sędziemu wojskowemu Piotrowi Lubomirskiemu w zastaw za 40,000 złp. i 20 gr., lecz ten nie mieszkał tu wcale.

Następnie w spadku po Lubomirskich objął państwo jazowskie ks. Paweł Sanguszko w r. 1719. W 1753. wraca napowrót w posiadanie ks. Lubomirskich, a mianowicie obejmuje je ks. Marcina Lucya z Lubomirskich Jerzowa Tyszkiewiczowa, która zginęła z ręki własnego syna. Od niej w r. 1805. kupił te dobra starosta ropczycki Marceli Wyszowski za 32.0000 złp. po jego zaś wnuku Ludwiku zmarłym bezpotomnie nabył je w spadku Stanisław Filhauser, który w r. 1875. sprzedał je za 120.000 złr. teraźniejszym właścicielowi Izraelitom: »Ader et Robinson!«<sup>1)</sup>

1) U. Z. S. Słownik geogr. Warszawa. Tom III. str. 540.



Przed niewielu laty był to uroczy zakątek otoczony wiekowym, bukowym, dębowym i modrzewiowym lasem, — dziś — to gwarne miejsce fabryczne, gdzie tartaki wycinają stare drzewa i lasy i zatrudniają tysiące robotników, — swojska ręka rodaka umiała ten skarb tylko rozrzucić i roztrwonić.

Dzisiejszy właściciel wyciągnął z niego już dziesięćkrotnie cenę kupna!

Tak giną słuchy o wielkiej naszej przeszłości, giną nasze olbrzymie magnackie fortuny...! i jakże nie pisać gryzącej satyry!

Łud tu jest uprzejmy i bardzo urodziwy.

Kto przyjrzał się temu ludowi, o pięknej oliwnej cerze, wyniosłej kibici i regularnych rysach w kościele jazowskim, ten nie prędko go zapomnie.

Strój ich przypomina strój krakowski. Fabryki mebli i tartaki w Jazowsku dają utrzymanie kilkuset tutejszym robotnikom, dla których właściciel Ader pobudował piękne domki mieszkalne. Majątek jazowski w rękach dzisiejszych to dobry i godny naśladowania przykład, jak należy pracować, by wzbogacić siebie i robotników, a zarazem przykra satyra dla tych panów polskich, którzy nie umiejąc pracować, sprzedają za bezcen pańskie fortuny nieraz w obce ręce.

Droga nasza, wiodąca teraz między dwoma parkami skręca na północ niemal pod kątem prostym, potem na zachód, a od cmentarza zjeżdżamy w dolinę na osadę »Rybaki!«

Stąd na prawo szedł niegdyś, przed laty 25-ciu górami gościniec na tak zwane »Obłazy«, droga przez tą nader stromą górę była jednak nader przykra i nieraz do wyciągnięcia na nią wczu pocztowego — musiano prócz koni zaprzęgać parę wołów. W ostatnich czasach wykopano dla Dunajca koryto, obok przeciwległej góry a nową drogę puszczono starem łożyskiem rzeki i ocieniono ją lipami, świerkami i akacyami i ta piękna aleja prowadzi nas dziś do osady Rybaki w Maszkowicach. — Stąd na lewo na górę za Dunajcem widać dwa potężne buki, widoczne parę mil w okolicy. Panorama górzysta na lewo nad Dunajcem przecudna! — Ciągną się bowiem stąd dziesiątki łańcuchów podgórskich mniejszych i wyższych wyrastają jedne z drugich, krzyżują się, płaczą i rozbiegają, aż wreszcie wiążą częściowo swe wierzchołki, tworząc płaskowzgórze wzniesione do wysokości 649 m., które znów dalej na południe daje podstawę nowym i już wyższym czółom Pieniń i Beskidu i wreszcie Tatr. Niższe stoki tych pogórzy okrywają dość urodzajne pola poprzeryzane skalistymi wyłomami, do których gdzieniegdzie, jak gniazda jaskółcze do poddasza, przyczepiły się drobne chatki.

Środkowe stoki tych pogórzy przyodziały pastwiska, poprzeryzane smugami lasów. — Całość malownicza, prześliczna!



Podobny widok roztacza się i po drugiej stronie drogi,—jeno, że tu ciska, bo nie grają bystre i siwe fale Dunajca.

Harmonijnie w półkole po pod pogórzami wygięta dolna płaszczyna świadczy, że właśnie tędy szły ongiś jego wody.

Dziś osierocił Dunajec to pogórze i popłynął precz, gdzie skierowała go wola i ludzka ręka. W tem też uroczem miejscu mamy »ślabant« naszą boską rogatkę, góral się drapie w głowę i krzyczy »sturbowany«, co »trza« płacić »myto«. Błogosławioną jest ta kraina w »myta«, co krok niemal koñ uderza o »ślabant« i ani rusz dalej dopóki żydek arendarz nie odbierze swego.

Po prawej stronie drogi widać duży kompleks sadów, to wieś Maszkowice, kolebka Zyndrama. W pierwszym sadzie przydrożnym widzimy zwyczajem naszego ludu, zbudowany wielki krzyż kamienny z napisem »Marcin i Rozalia Zbożniowie na cześć i chwałę Boga.«

Za sadem stajemy na mostku, przy małej drewnianej karczmie, obok niej prowadzi droga do wsi, — i tędy zajeżdżamy na obszerne podwórze Marcina Zbożenia.

Typowy to domek zbudowany na modę dworku starszslacheckiego, z gankiem na słupach, ozdobiony po staropolsku obrazem Matki boskiej Częstochowskiej i okolony zielenią winnej latorośli.

Obszerne stodoły i stajnie kryte dachówką, wskazują na dobrobyt i zamożność — wszystko jak w Panu Tadeuszu — brak jeno pagórka i topól. Tak samo znać tu ład i porządek i taksamo uprzejmie zaprosi gospodarz Marcin przybywszy z daleka pod swoją strzechę.

Brat zaś naszego gospodarza Wojciech ośmdziesięcioletni starowina, a krzepki jak smrek i mający czuprynę czarną jeszcze jak kruk, zaprowadzi gości na górę Zyndrama.

Ciekawi to ludzie tacy Wojtki, których ani lata, ani ciężka praca zmóǳ nie może, istni ludzie z krzemienia.

Droga na górę Zyndrama prowadzi pośród pięknych sadów, obok malowniczych domków.

Tu oto »wedle« drogi rozsiadły się »chałupy« Jarków, Połoićów, Pasiudów, Skutów, wszystkich odwiecznych »gazdów« i tu-byłców, aż wreszcie stajemy pod nędzną chatką »komornika«. ostatnią pod górą...

Stąd wspinamy się stromą ścieżką na wysokie wzgórze, któremu z dwu stron grają górskie potoczki, i oto mamy zamczyisko Zyndrama, zwane przez lud »grodziskiem.«

Widok na góry okolne i sta szczytów okrytych bujną zielenią pyszny!

Kiedyś huczało tu pewno życiem wielkiej przeszłości, której dziś, ani »słyszać.«



Marcin Zbożeń i Jego dom.

Cisza jeno panuje uroczysta na tem miejscu, gǳie niejednokrotnie słychać było szczęk oręży i wiwaty wznoszone przy ucztach na cześć »Króla Jegomości!«

Najnieszcześniejszy to z grodów pogranicznych węgierskich, które broniły brzegów Dunajca i najmniej też z niego śladów zostało!



Lud Maszkowic na Grodzisku.

Niedzica i Czorsztyń sterczą jeszcze nad nurtami Dunajca, z świetności zaś grodu Zyndramowego niemaż niemal kruszyny.

Niedzica ma jeszcze wiele komnat nietkniętych, świetlic starych, okazałych, posiada jeszcze bogatą zbrojownię i galerję obrazów, — swoje sławne biurko z 365 szufladami, dar któregoś pa-



pieża, Czorsztyn jeży jeszcze groźnie szkielet swych dawnych murów, pręży jeszcze resztę wysokich szkarp i gzymsów pałacowych, z Zyndramowego zaś grodu niemasz prawie szczątków.

Szkielet tego olbrzym, który na wysokości 400 m. groził pogranicznym Węgrom zniszczył ząb czasu, ale też i ludzie.

Jak lilipuci rozdzierali oni cielsko starego olbrzyma, rozdrapywali wały i mury zamkowe i z tych kamieni i cegieł zbudowali wieżę kościoła w Łacku, szpichlerze i stajnie i powznosili mury koło pól.

Z ilości tych rozsypanych kamieni widać jeszcze jak tęgim był i okazałym szkielet Zyndramowej kolebki.

Dziś gruz, rozsypany w koło zakrył resztę nierozebranych fundamentów i murów, a przyroda okryła dawną wielkość i chwałę tych ruin, swoim królewskim płaszczem.

Białe brzozy zielska i trawy rozrosły się tu bogato, i bywa tu nieraz cisza taka, jak w czasie podniesienia w wiejskim kościółku, przerywana jeno głosem dzwonek, pasących się tu owiec i piosnką pastuszej piszczałki, wygrywającej jakąś dziwnie rzewną a piękną swojską ludową melodję.

Prócz wspomnianych ruin została z Zyndramowego grodu jeszcze, — płaszczyna, na której wznosił się prastary zamek.

Płaszczyna ta w kształcie elipsy, ma 225 m. obwołu.

Ściany jej boczne spadają stromo w dół.

Stromo spada ściana południowa, bo aż pod kątem 70<sup>0</sup>, północna i wschodnia są mniej strome. Wjazd do zamczyska prowadził widocznie od strony zachodniej gdzie wyżyna Zyndramowego grodu łączy się z drugą ciągnącą się gdzieś daleko...

Wyżyna od strony południowej jest niedostępna! U stóp wschodnich zamkowej góry płynie Biały potok i łączy się tu z drugim płynącym z Wolaków i z trzecim z Wieli.

By sobie stworzyć obraz Zyndramowego grodu, trzeba sobie przypomnieć, że zamczysko to budował ten sam mistrz, który stawał Czorsztyn i Niedzicę. — Gród Zyndramów był im współczesnym i zapewne niejedno z nimi wykazywał pokrewieństwo. Dziś niestety trudno mówić o rzeczy, która nie istnieje, zwłaszcza, że trzeba by było dopiero odkopywać fundamenta.

Droga północna stąd prowadzi na wioskę Szczereż. Idziemy wciąż pod górę ponad potok, obok gospodarstw zwanych »łazami«, należących do ról maszkowieckich i mamy tu np. »łaz« Marcina Zbożnia, Skuta, wreszcie »łaz« Jana Babika. — Stroma uciążliwa droga wiedzie nas na wysokie płaskowzgórze do Szczereża, górskiej krainy kwiczołów.

Kwiczoł to ptak towarzyski, przelatuje tu całymi stadami wiosną i jesienią.

Malownicza ta wyżyna okryta karłowatą brzozą i jałowcem, bywa przystankiem tych miłych ptaszek, które też wtedy łowią tu w wielkiej ilości.

Sposób połowu kwiczoła jest ciekawy. — Opośal samotnej sosny urządza ptasznik »gaj«, wbijając pościnane krzaki jałowca w ziemię i tworzy w ten sposób rodzaj grzędę pokrytej jałowcem.

Z boku otacza góral tę grzędę niewidzialną siecią i buduje obok z gałęzi np. świerkowych »jate«, to jest budkę dla siebie, w której czyha na przyłot kwiczołów.

Gdy ptaszki obsiedą stałem sosnę, ptasznik wystawia z budy tyczkę, do której przywiązał już przedtem za ogon, lub skrzydełką żywego kwiczoła, lub pokrewną ptaszykę »mlaskota«,

Poruszając tyczką, zmusza chłop przywiązaną ptaszykę do żałośnego kwilenia i ta piszcząc i trzepocąc skrzydełkami, zwabia ptaszki z sosny na gaj.

Gdy kwiczoły gaj obsiedą, wtedy ptasznik opiera nogi o pal wbity w jacie i całą siłą szarpie za sznur łączący sieć otaczającą gaj. — W jednej chwili pokrywa sieć cały gaj a ptasznik wybiega z jaty i bez litości dusi biedne maleństwa, któremi potem żydzi zasypują rynki miejskie.

Wieś Szczereż zabudowana jest na dość obszernem płaskowzgórzu, wzniesionem 500 m. nad poziom morza, spadającym ku wschodowi.

Wokół panorama górską prześliczna. — Widać stąd bowiem na południowy zachód wspaniały mur granitowych Tatr, odłaných jakby z jednej masy złodowiałego błękitu, popstrzonych białymi smugami wiecznych śniegów.

Podziw jakiś i wzruszenie rozdziera pierś do dna, oko napałzyć im się nie może, wspomina się niejedna pieśń słyszana w dzieciństwie:

»Janosik, Janosik  
kaś podział pałasik.«

Dokoła bliżej wznoszą się przepyszne kopuły i kopulice wzgórz pokrytych rześistą zielenią.

To kopulice Beskiðu, jest ich wiele, bez liku, jak kopców na cmentarzu.

Wieś sama dobrze zabudowana, domy jasne wysokie i czyste, kryte blachą, lub dachówką, oddzielone od siebie ogrodami, każą wnosić o zamożności gospodarzy.

Łud uprzejmy, urodziwy, pracowity, hoży i czerstwy, jakiego niemaż w okolicy zadziwia i zaciekawia.

Ubiera się po krakowsku w długie, granatowe żupany, nabijane krajami mosiężnymi guziczkami, żółtymi frendzlami, spodnie rów-



nież granatowe, bogato wyszywane buty krakowskie z podkówkami a na głowie krakowska rogatka z pawiem piórem, koszula wyszywana, lub haftowana z kokardą przeszytą srebrną, lub złotą nitką,— oto strój Szczereżanina.

Piękniej jeszcze wygląda młody Szczereżanin, jako družba!

Prawdopodobnie jest to więc osada krakowska. We wsi tej była osada niemiecka, złożona z czterech kolonij i czterech zagród zwana »Ernstdorf«, folwark Panien Klarysek stanowił tu tak zwany kwartał z gorzelnią, dziś z Niemców nie zostało ani śladu, kolonie się rozpadły prócz jednej, na której siedzi Wojciech Rams.

Zginęły i nazwiska niemieckie, oby tak było wszędzie.

Tak to żywioł niemiecki, który w 13, 14 i 15-ym wieku otwartymi wrotami szedł do Polski, został z tego zakątka na zawsze i bezpowrotnie wyparty.

Przypadkiem trafiliśmy tu na posiedzenie rady gminnej, która właśnie uchwalała pozbycia się karczmy od przyszłego roku.

Zabiegi łackiego »kacyka« propinacyjnego żyda i »boska« woń jego trunków nie przemówiła widocznie do ambicyj ani serca Szczereżan, skoro jednogłośnie wykrzyknęli »Precz z karczmą i z żydem od nowego roku.«

Jakiż to dzielny lud! — Brawo Wam zacni Szczereżanie!

Z grona tych zacnych gospodarzy, wymienić należy Wojciecha Baziaka, wzorowego rolnika posyłającego syna do szkół.

Ze Szczereża rozszerza się przepyszny widok na dolinę Dunajca, i na Nowy Sącz oświetlony wieczornymi lampami.

Na północ od Szczereża, w dolinie rozłożyła się wioska Wolica niegdyś własność Stefana Wielogłowskiego, Arjanina, — dziś z dworu pozostały tylko ślady, — a na gruntach tego »Brata polskiego«, osiadł zacy i pracowity kmiołek Piotr Potoniec, najinteligentniejszy gospodarz z całej wsi. Mieszkanie jego, — to prawdziwy typ dworku szlacheckiego. Już na pierwszy rzut oka uderza tu schludność i czystość, tak rzadko spotykana u naszego ludu.

Potoniec uprawia »doświadczałne«, z ramienia kółek rolniczych plantacje malin, on pierwszy zaprowadził nieznane w tej okolicy drenowanie gruntów.

On też odprowadza nas na górę Szczereż, skąd powracamy do Maszkowic, by ukończyć opis, przerwany wycieczką do Szczereża.

Wieś Maszkowice rozłożyła się na południe od starego Zyndramowego grodziska, pod jego uroczem wzgórzem, i ma kształt prostokąta opartego jednym bokiem o zamczysko, — drugim o gościniec.

Domostwa tu piękne, na pół murowane, kryte przeważnie dachówką, umajone jabłoniemi i śliwami węgierskiemi.

Gleba z całej okolicy najurodzajniejsza, prócz pszenicy i żyta rodzi się obficie groch i bób i stąd przysłowie, że Maszkowianin tak z bobu dobrze wygląda. — Jest to pierwsza wieś w Galicyi gdzie zaprowadzono tak zwaną »kommasacyę« gruntów.

Przeprowadza ją pan inżynier Edward Szayer, syn ogólnie znanego i lubianego mecenasa Dr. Szayera w Starym Sączu.

Panu inżynierowi zawdzięczamy zdjęcie zamczyska Zyndrama i widoki z Maszkowic.

Luź w Maszkowicach rośli, barczysty i silny, chłop w chłopaka jak tur. Taki luź też, chyba miał na myśli poeta Goszczyński pisząc w Sobótce:

»Nie kobieta ale skała  
Zrodzić nam ciebie musiała.«

Skory do pracy, ale nie leniwy i do wypitki, dumny z tego co ma, dowcipny, ochoczy w zabawie, grzeczny, nawet wtedy gdy sobie podchmieli, w uczynkach nie zawsze »cnotliwy«.



Młodzież w Maszkowicach

Górale są wogóle pracowici, — toteż i nasi Maszkowianie uprawiają wcześniej na wiosnę role, by pospieszyć innym z pomocą.

Rodziny są bardzo liczne. — Mimo tego luź jest zamożny, Maszkowiak córki wyposaża bogato i sprawia im huczne wesela, goszcząc nieraz przybyśców z okolicy i z inteligencyi po kilka dni. — Toteż nie dziwota, że takie wesela kosztują nieraz do 1000 koron.

Maszkowiak pije przy każdej sposobności, pije przy chrzcie, pije na zaręczynach, na weselu i na poprawinach, pije nawet za duszę nieboszczyka na pogrzebinach, pije przy każdej sprawie sądowej i uczcie rodzinnej, pije na targu i odepuszcie!

To jest ta mniej piękna strona nałogów tego zresztą szlachetnego ludu.

Majątek przeciętnego gospodarza dochodzi 30.000 kor., u bogatszych do podwójnej wartości, nie brak jednak i ubogich »chałupników«, — zwłaszcza na »Wyrobiskach« za Dunajcem. Do posług przy gospodarstwie domowym i rolnem używają przeważnie własnych dzieci, do czego zmusza ich drożyzna służącego, i ich wady, wynikające ze złe zrozumianej wolności i podszeptów socjalistów.

Zdolniejszych chłopców posyłają czasem do szkół, uderza jednak, że z tej bogatej wsi zaledwie trzech synów włościańskich uczęszcza do szkół średnich i że przeprowadzająca się z tak wielkim trudem i kosztami komasacya gruntów będzie niedługo bezskuteczną, bo jeżeli włościanin swym dzieciom nie da chleba z nauki, lub rzemiosła, — to znów w niedalekiej przyszłości te bogate role, na drobne części rozpaść się muszą.

I znów staną Maszkowice nad Orkanowem »urwiskiem«.

Wychodzimy ze wsi obok wspomnianej karczmy, która od wieków była w posiadaniu bogatego i poważanego rodu kmiecego, jednak obecny przedstawiciel tego rodu, nie będąc nawet w kłopotach pieniężnych, — sprzedał tę karczmę za bezcen żydowi, a sprawa ta tem boleśniejsza, że karczmę tę chciał kupić gospodarz Marcin Zbozeń i płacił nawet więcej, jak żyd.

Smutne to, że i włościanie tak lekkomyślnie poczynają trwonić ojczyste mienie.

Czołnem przejeżdżamy ztąd na prawy brzeg Dunajca i wspinamy się następnie drogą leśną, stromą i przykrą, po godzinie stajemy na wierzchołku najwyższej góry nad Maszkowicami, u dwóch buków, widzianych już z Jazowską!

Stąd rozciąga się znów przepiękny widok na Tatry, Nowy Sącz i całą dolinę Łącka, Tylmanową, Lubią i Gorcz.

Stąd widać osady chałupników, zwane Wyrobiskami. Stąd też pochodzą ludzie, zadziwiający swoją energią, którzy własną pracą dobili się stanowisk i słyną dziś z ducha obywatelskiego jak np. P. Józef Klimecki radca



Józef Klimecki, Jasło.



sądowy w Jasle. Z Maszkowic zaś pochodzą ks. Ludwik Babik proboszcz w Kulikowie, ksiądz Józef Jarek w Dźwiniaczu, i Dr. Marczak sędzia w Chrzanowie.

Z poszczególnych gospodarzy wymienić należy zanego rolnika Jana Farona, ozdobionego krzyżem zasługi, za szlachetny charakter i długoletne, chlubne urzędowanie na stanowisku wójta, który również posyła syna do gimnazjum.

Wojciech Pasiuś, słynie znów, jako pilny, pracowity i trzeźwy gospodarz, jest obecnie wójtem i on to przyczynił się hojnym datkiem do wydania tej książki.

Jadąc od karczmy w górę, spotykamy piątrowy, biały spichlerz w ogrodzie i duży drewniany dom, wybudowany, jak dowodzi data na »stragarzu« w roku 1729., to najstarszy dom w tej wsi, — Jana Babika.

Za Długosza były Maszkowice własnością klasztoru starosądeckiego i miały 17 łąnów kmiecych, prócz roli dworskiej (praedium militare.)

Później wieś podupała i była uważaną za przysiółek Łacka. Po zajęciu dóbr klasztornych przez Józefa II-go r. 1782 została powiększoną, przez kolonię niemiecką »Ernstdorf«, — obecnie Szczereż, a następnie sprzedaną r. 1835 hrabiemu Drohojewskiemu, który znów majątek leśny sprzedał p. »Aderowi« w Jazowsku.

Maszkowice liczą obecnie 900 mieszkańców. — Na ziemiach polskich znajdują się jeszcze drugie Maszkowice w powiecie Łęczyckim, należą do gminy Leśmierz, te jednak nie są kolebką Zyndrama.

Droga do Łacka ciągnie się pośród urodzajnych pól, — na lewo za Dunajcem widać łańcuch wzgórz, między którymi najwyższe zowie się »Złotne«, dlatego, bo niegdyś właściciel Łacka Wydzga, koło roku 1251 miał tu kopać złoto i w wydrążonych tramach spławiał je Dunajcem i Wisłą Krzyżakom. Mijamy potok »Lichnię« uregulowany niedawno kosztem Wydziału Krajowego.

Naprzeciw ujścia tego potoku do Dunajca, na wzgórzu, za wodą w r. 1858 hr. Drohojewski, ówczesny właściciel Łacka wykopał głęboki szyb i próbował dobywać rudę złotą, ale pracy tej w braku kapitałów i ludzi zawodowych zaniechano.

Szyb ten z bocznymi korytarzami zwiedzał Wojciech Zbozeń, nasz przewodnik na Szczereż, — z ks. Mikołajem Zabrzeskim z Cieszyńska.

Zaniechanie tych kopaliń dało powód do wieści między ludem, że żydzi z Łacka wstrzymali tę kopalnię bo gdyby ją dalej prowadzono, żydzi w Łacku nie mogliby mieszkać.

Minąwszy Lichnię jedziemy wsią, — rozłożoną na prawo, to dawny Wiesendorf, zwany przez lud wsią niemiecką, — a za staraniem ks. Pociłowskiego otrzymała ona nazwę Łączki.



Były tu kolonie Lachnerów, Ungerów, Peterscheinów, Zahnów itd., ale wszyscy ci Niemcy, jako katolicy, złączyli się z ludnością tubylczą, wywarowali się prawie zupełnie i dziś ich potomkowie nazwiska swego nawet wymówić nie umieją.



Dr. Chwalibóg, lekarz w Łącku.

Łącką niezliczoną ilość chorych wydarł z objęcia śmierci, z ludem obchodzi się uprzejmie i życzliwie, — nic więc dziwnego, że zyskał sobie serca ludu i że lud ten zaprasza go zawsze na goody i uroczystości rodzinne.

Środkiem Łącka płynie potok, zwany »Czarny Potok«, który latem ledwie się sączy po kamyczkach, a na wiosnę i w jesieni miewa swoje przykre kaprysy, sięga bowiem nieraz aż do chlewików sławetnych mieszczan i zabiera im tuczne świnki. — Lament, jęk, płacz i rwetes jaki się wtedy nad tą rzeczką wszczyna nie da się opisać. Rozsiewa też ten »potok« choroby, jak tyfus, dyfteryę, reumatyzm itd. — a biedna gmina nie jest w stanie zaradzić, usilne zaś starania Dr. Chwaliboga u władz krajowych, zostały, jak zwykle bez skutku.

Z rynku przez ławę idziemy w środek łackiego grodu, około pięknej willi pana Lenartowicza, — który osiadłszy tu na emeryturze jako komisarz skarbowy, obrany burmistrzem, pracuje chlubnie dla dobra ubogiego tego miasteczka.

Ród Lenartowiczów, od wieków tu osiadły, wydał wielu szlachejnych i bogatych kupców.

Wspomnieć tu muszę o P. Romualdzie Lenartowiczu, którego dom w Warszawie przyjmował zawsze gościnnie swoich rodaków, a który obecnie osiadł w Makowie, gdzie zjeżdżał sobie miłość i życzliwość, jako dobry obywatel, Prezes Sokola.

Ostatni dom w niemieckiej wsi, to dawna leśniczówka hrabiego, — obecnie siedziba Dra. Marjana Chwaliboga, lekarza okręgowego, który osiadł tu za staraniem burmistrza P. Pantaleona Lenartowicza, jako lekarz okręgowy w r. 1905.

Z Łącka do Starego Sącza jest 17 km., taksamo daleko i do Krościenka, siedziby lekarza.

Nic więc dziwnego, że cała ludność Łącka i okolicy powitała przybycie P. Dra Chwaliboga szczerą radością, Lekarz ten człowiek pracowity i rozumny wyrobił sobie wielkie zaufanie i praktykę swą »szczęśliwą ręką«



Idąc na północ widzimy po lewej ręce, — piękny murowany domek z gankiem, otoczony sadem, własność to niegdyś śp. Frusińskiego, organisty i nauczyciela w Łącku.

Domek ten dziś własność żydowska, chociaż jako położony obok kościoła winna była zakupić parafia na ochronkę lub dom ludowy.

Przed tym domkiem w r 1898 padło dwóch synów chłopskich pod ostrzem bagnatów, sięgając w czasie rozruchów, — po mienie żydowskie.

Tem stał się ten dom w dziejach Łącka pamiątkowym i historycznym!



Kościół w Łącku.

Stojący przed nami kościół, o budowie ciężkiej, ogromnych i grubych murach pochodzić ma aż z roku 1327, lecz w każdym razie istniał on tu już wcześniej. — Kościół ten zbudowany częścią z kamienia, częścią z cegieł w stylu romańskim, jak prawie wszystkie kościoły ówczesne.

Okna małe wyglądają raczej na strzelnicę. Stojąca z przodu, ciężka, wysoka, czworogranna, czteropiętrowa wieża również w stylu romańskim jest zbudowana z kamienia.

Na wieży tej za staraniem burmistrza Lenartowicza, umieszczono w r. 1907 zegar. Kościół otaczają stare lipy i kasztany.

Wnętrze jego tworzą trzy nawy, z tych dwie boczne.

Ołtarz główny w stylu romańskim rzeźbiony i złocony, liczy aż czternastu «świętych» różnej wielkości i kroju.

Ołtarz ten i starodawna chrzcielnica, odnowiona przed dziesięciu laty, zostają dziś pod opieką konserwatorów krakowskich.

Wewnątrz panuje schludność i porządek. Wieżę kościoła zbudowano za czasów cesarza Józefa II. w zamian za oddane sprowadzonym Niemcom grunta kościelne. Na dowód tej szczególnej łaski wisiał nad chórem przez kilkadziesiąt lat czarny orzeł austr. i dopiero ks. Pociłowski, restaurując kościół, tego orła usunął. Zbudowano ją ze Zamku Zyndramowego, by zniszczyć pamiątkę wielkiej przeszłości.

Za kościołem na wzgórku jest cmentarz z kapliczką św. Anny mieszczącej zwłoki ks. Pociłowskiego i jego poprzedników.

Do okazałszych budynków należy szkoła ludowa, którą zbudowano razem z kościołem.

Budynek ten był przeznaczony pierwotnie na przytulisko ubogich łąckich, potem zmieniono go na szkołę. — Obok niej zbudowano w ostatnich latach piękną nową szkołę, malowaną wewnątrz pokostowymi farbami, otoczoną obszernym dziedzińcem, służącym dla zabawy dziatwy i założono przy szkole pierwszą w okolicy szkółkę drzewek owocowych staraniem obecnego dyrektora szkoły Pana Stanisława Wilkowicza człowieka pracy, wzorowego pedagoga i niezrównanego miłośnika sadów. W szkółce tej uczy się dziatwa sadownictwa i z tąd rozchoǳą się na całą okolicę najlepsze odmiany drzew owocowych.

W Łącku są dwa hotele wyłącznie żydowskie. W śródmieściu rynek z obszerną austerją, środkiem którego płynie już wspomniany »Czarny Potok«, — z rynku rozchoǳą się wąskie, nie planowo zabudowane uliczki. Domki, prócz nowo postawionych są małe, gdzieś nigdzie jeszcze bez kominów.

Urzędów, prócz miejskiego, pocztowego, telegraficznego i telefonicznego, oraz Posterunku żandarmeryi niema żadnego.

Na roki sądowe zjeżdżają tu sędziowie ze Starego Sącza, wielkie jarmarki odbywają się tu co trzeci czwartek, gdy będzie zbudowaną kolej, projektowana na rok 1915, — powstanie tu sąd powiatowy i starostwo.

Przyczyni się to do rozwoju i podniesienia tej miejsciny, urzędnicy, którzy tu osiedlą, jak wszędzie tak i w Łącku zechcą pracować na polu oświatowym, społecznem i narodowem i swemi ǳatkami utrzymywać jak wszędzie towarzystwa naukowe i dobroczynne.

Z fabryk istnieje tu gorzelnia wyrabiająca »pejsaczną« śliwowicę.

Łącko liczy dziś 300 domów, a mieszkańców do 2.000.

Życie tu małe, inteligencji tylko garstka, jeżeli się skupia, to chyba w kasynie, skleconem przez żyda dla interesu.



Szkoła w Łącku.

Łudność w połowie rolnicza i rzemieślnicza, nie brak tu chałupników i bezdomnych zarobników.

Z wybitniejszych rzemieślników wymienić należy Michała Pyrdoła krawca, który swą pracą dostarczył już ubrań tysiącom młodzieży szkolnej, jest on krawcem miejscowego i okolicznego duchowieństwa i szlachty.

Historja Łącka od najdawniejszych czasów gubi się w pomroku. Wiemy, że przed r. 1251 było ono własnością Wydźgi herbu »Janina«, który wyprawił się na wojnę krzyżową.

Trudnił on się i górnictwem, a mianowicie dobywał tu złoto, które, jak już wspomnieliśmy spławiał do Gdańska. Wydźga był też panem Czorsztyna.

W r. 1251 sprzedał Łącko klasztorowi Bożogrobców w Miechowie za 300 grzywien, którą to sprzedaż zatwierdził król Bolesław Wstydlivy w Bochni 11 grudnia 1251.

W sześć lat później Łącko dostaje się do klucza dóbr św. Kingi, jako zastaw zapisany jej przez męża, za ofiarowane złoto i pieniądze, — na cele kraju i zaciągi wojska przeciw Tatarom. Po śmierci Kingi przechodzi Łącko na własność klasztoru w Starym Sączu. W r. 1579 dzierżawi Łącko Prokop Pieniążek, który jako rotmistrz królewski odznaczył się pod Gdańskiem, znów później, jako admirał floty maltańskiej, przeciw Turkom w Algierze i Tunisie.

W r. 1597 dzierżawi Łącko Sebastyan Lubomirski, a dalej jego synowie. — Ostatnim był Stanisław mający za żonę Zofię z Ostrogskich.

Od r. 1629 dzierżawi Łącko Wespazjan Schlichting, który jako zdrajca w wojnie ze Szwedami zostaje powieszony w r. 1657.

Następnie jego syn Jan pogromca Szwedów.

Dalsze koleje Łącka były różne.

Po kasacie dóbr klasztoru w r. 1785 przeszło do majątku kameralnego, a później r. 1835 nabył je hrabia Seweryn Drohojewski i sprzedał z czasem p. Michałowi Aderowi, robiąc na rzecz szkoły drobny zapis 22 K., płatnych co roku przez gminę Łączki, na zakupno książek, — dla ubogiej dziatwy.

Od r. 1617—1622 wójtował tu szlachcic Jakób Gogolewski, około tego czasu miały tu być źródła mineralne, żelaziste, o których własnościach leczniczych pisał lekarz Petrycy koło roku 1603.

Dalej twierdzi Siarczyński, że w pobliżu drogi sączą się obficie oleje skalne, któremi ludzie smarowali wozy. Dziś tych źródeł nie spotykamy.

Haquet badał Łącko pod względem geologicznym i zastał gliniasty łupek, żelazo, margiel, łyszczyk piaskowiec i lepiszcze żłu.

Łud Łącki opisuje on, jako uderzająco brzydkie, małe niezgrabne a przytem nadzwyczaj umysłowo nierozwinięte.



Porównywa ten lud z kretynami w Szwajcaryi i utrzymuje, że najmędrszy zaledwie do 10 policzyć umiał.

Kretyn ten miał 3 stopy i 9 cali wysokości, czoło zakłęste i był niemową. Haquet utrzymuje, że kretyn ów musiał być wyjątkiem, a redakcja słownika geograficznego stwierdza, że dziś w Łączku trudno by było znaleźć kretynów.

Niestety jest przeciwnie, gdyż dzięki pijaństwu i niechlujstwu, obarczaniu dzieci pracą od lat najmłodszych, kretynstwo dziś tu znów wzrasta i kretyn płodzi kretyna.

Podróżnemu możemy zalecić restaurację katolicką p. Grabcowej, gdyż lokal to czysty, świeży i nęcący, przekąski i potrawy dobre, smaczne i tanie, wino białe i czerwone naturalne, komu zależy na zdrowiu i kieszeni, może tu odważnie zajechać.

Warta jeszcze wymienić tych ludzi, którzy z tej miejsciny swą pracą i nauką wybili się na stanowiska, a to:



ks. Tomasz Łączewski.

Ludwik Paluch, radca sądu kraj. w Wadowicach, ksiądz Tomasz Łączewski, proboszcz i kanonik w Szczużynie. — Zaczyna ten kapłan, urodzony w przysiółku Wolaki, już jako uczeń gimnazjalny dawał liczne dowody szczerości i koleżeństwa.

Dziś jako kapłan pracuje gorliwie dla dobra ludu, za co też odznaczony złotym krzyżem zasługi.

W domu jego kwitnie staropolska gościnność, rodzinę zaś swą ubogą zaopatruje ksiądz ten w ubranie, zboże do siewu, bratanków i siostrzeńców posyła do szkół, — to też jego krewni mogą na pewno powiedzieć, że »mając księdza w rodzie, bieda im nie dobodzie«.

Z Wolaków pochodzi również Jan Gałyński, który po ukończeniu niższej szkoły rolniczej w Kobiernicach wstąpił do straży skarbowej i jest obecnie naczelnikiem urzędu cłowego w Kozaczówce, — gdzie strzeże »Okopów św. Stej Trójcy«, tej twierdzy naszego bohatera Kazimierza Pułaskiego.

Jeżeli komuś z czytelników przyszła ochota zwiedzać Chocim, Żwaniec i Kamieniec podolski, to p. Gałyński jako prawy Polak z przyjemnością to ułatwi.

Wspomnieć tu jeszcze musimy o p. Lenartowiczu, lekarzu w Ustrzykach, o Józefie Kurzeji, zarządcy podatkowym w Tarno-

polu, — wreszcie o Stanisławie Bochyńskim, artyście malarzu, uczniu Matejki, który swą ręką odmalował wszystkie prawie kościoły na Podhalu i słynie jako portrecista, przed kilku zaś laty osiadł w Maniowach (poczta Harkłowa), skąd często jeździ do swej rodziny w Łącku i jemu zawdzięczamy fotografie do niniejszego dziełka.



Stanisław Bochyński, art. malarz



Józef Kurzeja.

W końcu wspomnieć musimy o śp. braciach Kronenbergerach, Przeorze OO. Cystersów w Mogile i medyku, zmarłych około r. 1888.

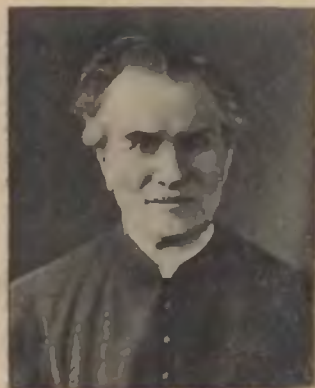
Luź mało tu posyła synów do szkół, liczba uczniów gimnazjalnych stąd nie przekracza liczby trzech.

Droga od kościoła na północ wiedzie do Kiczonek i Tarnawy. Kiczonki i Tarnawa wydały bardzo wielu zacnych ludzi. Do nich na-

leżą, śp. ks. Michał Sopata, zmarły w Biegonicach, śp. Jakób Wąchała, sekretarz skarbu, zacny i prawy urzędnik, śp. ksiądz Jakób Szczurkowski, zmarły w klasztorze OO. Cystersów w Mogile, ks. Wojciech Szczurkowski, proboszcz w Bodzanowie, wreszcie Stanisław Jakób, prof. gimnaz. i wielu innych.

Idąc do Zagorzyna, przechodźmy koło folwarku Tarnawa, należącego do probostwa w Łącku.

Z folwarku tego w r. 1620, chłopci z okolicy, pod dowództwem Grzegorza Kępy z Józkiem i Jaśkiem Chlipawczykiem z Ochotnicy, Błażkiem



ks. Wojciech Szczurkowski.

Jaszczurem i Maciejem Rusnakiem z Kamienicy, urządzali napady na dwory Arjan, Wielogłowskiego w Wolicy, pani Gabońskiej w Łukowicy, oraz Wierzbietów i Podowskich w Przyszowej.

Folwark ten od niepamiętnych czasów dzierżawili żydzi i tu doznawali »Abrahamowego błogostawieństwa«, tu się wychowywali i stąd osiadali w Łącku.

Prawy Polak, myśliciel i przyrodnik hr. Kazimierz Wodzicki, opisując życie jastrzębia, wytyka wady szlachty, jej lenistwo i przytacza wiele błahych powodów, pod pozorem których ucieka szlachcic do miasta, — a majątek wydzierżawia żydom.

Wspomina, że gdy szlachcic przed wygaśnięciem kontraktu wraca obaczyć mienie ojczyste, zastaje majątek tak zniszczony, że woli go sprzedać, lub wydzierżawić nadal żydowi, niż nań powracać.

Ten sam los spotkał i Tarnawę, — była tu gorzelnia rolnicza, którą żydzi do szczętu zniszczyli, tak, że zamknięto ją w ostatnich latach życia ks. Pociłowskiego. Obecnie jesteśmy niewymownie wdzięczni ks. Piaskowemu, że objął we własne ręce gospodarkę tego folwarku, ale strat spowodowanych zniszczeniem gorzelni nie odzyska już.

Gorzelnia ta pobierała od rządu najmniej 4.000 Kor. rocznej bonifikacy i zatrudniała wielu robotników miejscowych w zimie, kiedy tak trudno o zarobek.

Gorzelnia więc była dobrodziejstwem okolicy i przynosiła znaczny dochód.

Gdyby przez ten czas była w rękach polskich, mogłaby być kopalnią złota dla tubylców, wychowałaby może niejedno pokolenie ze swoich dochodów w szkołach i może nie rozpanoszyliby się tu żydzi. Niestety zauważyć należy, że to samo dzieje się wszędzie u nas.

I we wschodniej Galicyi, — dobra kościelne dzierżawia żydzi, a odnośni proboszczowie zasłaniają się tu rzekomym brakiem dzierżawcy katolika i jego nierzetelnością. — Przeciw temu twierdzeniu zastrzegamy się stanowczo, bo jeżeli za kordonem wszystkie prawie rosyjskie folwarki dzierżawia Polacy od lat kilkadziesiątu i na tej dzierżawie dorabiają się mienia i wychowują polskie pokolenia a właściciele pod względem rzetelności i gospodarowania nic im nie zarzucają, to dlaczego u nas mamy na dobrach kościelnych wychowywać tylko żydów? Przyczyna tu inna!

W ostatnich czasach wielu spekulantów nieuczciwych podniosło przez parcelację i różne nieczne szacherki, — cenę ziemi i dzierżaw do niebywałej wysokości.

Otoż majątek kościelny wydzierżawia się żydowi, bo on swym sprytem i przebiegłością, obrabia go taniej, przy dzierżawie prowadzi setki różnych interesów, mając z nich liczne dochody, potrafi utrzymać się na dzierżawie z małą stratą a chociaż wyniszczy grunty,

zrukuje budynki gospodarcze i prowadzi cały folwark do ruiny, to o tem każdorazowy proboszcz wiedzieć nie chce. — Miliony łoży Rzym na rozszerzanie wiary w Azji i Afryce, — a my może za 200 kor. wyższego czynszu usuwamy z folwarku kościelnego, Polaka, katolika i całe rodziny polskiej służby i rugujemy w ten sposób polskość i katolicyzm i obojętne nam to, jak nasz żywioł ginie w Ameryce lub nad Renem, jak się Prusak nad nim pastwi, jak tu polskość i połączony z nią katolicyzm na wschodzie z każdym dniem niknie i znikać musi, skoro na dobrach kościelnych, jeżeli nietrzyma się żydów, to obrabia się ogromne przestrzenie gruntów czeladzią i najemnikiem ruskim i obchodzi się dla tego ludu wyłącznie święta ruskie, w święta zaś polskie pracuje się na roli tak dobrze, jakby te dobra należały do Rusinów a nie do rzym. kat. kościoła. Niebierzmy hakatystom za złe, że naszych braci rugują z polskiej ziemi, bo nasze postępowanie ma ten sam skutek, co system pruski. Czas największy położyć tamę wzmagającym się z każdym dniem tego rodzaju rugom katolicyzmu i polskości na wschodzie. Sprawa powinna stać się przedmiotem bliższego zajęcia się nią ze strony społeczeństwa i należałoby wywrzeć nacisk, by ten stan uległ zmianie.

Może ta uwaga niejednemu z czytelników wyda się nie na miejscu, ale w roku jubileuszu wielkiej bitwy grunwaldzkiej, powiedzmy sobie otwarcie, że bez ziemi nie będziemy panami w swoim własnym domu, że dobra kościelne dali nasi ojcowie na rozszerzenie wiary i utrwalenie polskości, a nie na hodowlę i pielęgnowanie żydostwa i hajdamaków, że wychowani i wzbogaceni na dobrach kościelnych żydzi, sięgną po nie niedługo tak, jak niedawno zrobili we Francji.

Dzieje się tak, jak powiedział nasz wielki pisarz Korzeniowski: »Wszystko przeszło jak sen i z pięknych nadziei, ofiar i krwi przełanej nic nie zostało, prócz wspomnień i kilku desperackich czynów męstwa i odwagi, którą Bóg dał polskiemu sercu, ale nie dał głowie polskiej rozumu, bez którego wśród rozumnych sąsiadów nie było bezpieczeństwa całości i na nic się zdało męstwo i odwaga«.

Za Tarnawą rozpoczyna się Zagorzyn, domy tu obszerne stoją rzędem po jednej i po drugiej stronie rzeki, — pola orne i łąki rozbiegają się to na grzbiet kiczański, to ku wysokiej »Beniowej«.

Szkoła mieści się w okazałym budynku, częścią murowanym częścią drewnianym, niepodobnym do starej, — z której wyszło wielu zdolnych ludzi.

Choć ziemia tu urodzajna »gazdowie«, jakoś na swoje wyjść nie mogą, — najprawdopodobniej dlatego, bo grosz, który ich ojcowie dawali na wykształcenie dzieci, dziś składają na cześć i chwałę



Mośka, a starszych synów wypychają na zarobek do Ameryki, by stanowiska w kraju oddawać żydom i Rusinom.



Szkoła w Zagorzynie.

Z całej wioski, chodzi zaledwie Antoni Myjak do seminarjum naucz. w Starym Sączu, w innych szkołach nikogo z tej wsi nie spotykamy, brak ich też jest i w rzemiośle.

Jako gangrenę społeczną tej górskiej okolicy, naznaczyć wypada zjawiający się w ostatnich czasach zanik miłości rodzicielskiej do dzieci.

Łedwo biedne pacholę zacznie się ruszać po ziemi, bose, otulone workiem przed deszczem, pędzą je rodzice z gęśmi i cielętami na pastwisko, równo ze wschodem słońca i to nieraz w mroźne dni września i października. Nauka szkolna ich zdaniem wcale nie potrzebna, a przymus szkolny to kara niebios. Do szkół średnich

szkoda im posyłać synów, bo oni zastępują parobka i dziewczkę, którym prócz płacy trzebaby dać obuwie i ubranie, — tak więc dziecko pracuje darmo, a tatuś i mamusia rosną w dobrobyt, — mają za co sprawić chrzciny, uraczyć się z kumosią i kumotrem, pojechać i popić na każdym odpuszcie.

Gdy dzieci wyrosną i nie trzeba tyle rąk do pracy w domu, by ich darmo nie żywić, — wysyła się synów do Ameryki, dziewczęta do Prus, skąd wracają zwykle do domu w towarzystwie »Frytów« i »Wilusiów«.

Synowie zaś pracują nieraz w pocie czoła w Ameryce, odmawiają sobie koniecznego posiłku, by zaoszczędzić grosza i przysłać »tatusiowi« — »tatuś« zaś, aż ręce zaciera z radości, jadłem i napojem podpira siły starości, a gdy biedny syn, przeczuwając zbliżający się zgon ojca, wraca do kraju, by osiąść na krwawo zapracowanym kawałku gleby, — trafia na pogrzeb matki.

Tymczasem ojciec, 70 letni starzec, obiema nogami już prawie w grobie, wracając z cmentarza, wstępuje do karczmy i w niej przy kieliszku, swatają go z 16 lub 17 letnią dziewczyną, — zamiast ożenić syna, żeni się z panną młodszą nieraz o kilkanaście lat od swego najmłodszego dziecka.

Krzywdą, jaką przez to synowie ponoszą, zapracowani i postarziali przedwcześnie, — **woła o pomstę do nieba!**

Taka żnów macocha, wprowadzona w dom rodzicielski, tworzy tu istny dom nierządu, dzieci śpią się rok po roku, ojcami ich to pasierby lub »kumotrowie«. — Po kilku latach umiera stary wróg, wróg własnych dzieci, zapisuje majątek cudzemu dziecku, a jeżeli zostawi go najstarszemu synowi, to obarczy syna takimi zapisami na rzecz macochy i zbytecznego potomstwa, że tych zapisów przy usilnej pracy, oszczędności i najdłuższem życiu do śmierci z ożdziczonego gospodarstwa nie wyciągnie.

Młoda wdowa z kilkorgiem dzieci znów wychodzi za mąż i pod jednym dachem toczy prawdziwą »wojnę« z pasierbem, prowadzi procesa i doprowadza kwitnące niegdyś gospodarstwo do ruiny.

Do tego ustępu moglibyśmy zacytować setki, a nawet tysiące podobnych przypadków, nie omylił się i nasz wielki pisarz Reymont, pisząc swoich »Chłopów« i malując los starego Boryny.

Takich Borynów mamy dziś po wsiach, aż za wiele, — przyczyną tego jest zupełna ciemnota i najpodlejszy materializm. Dieraz słyszeć tu można »pobożne kumosie«, które przy kieliszku życzą sobie, by im Bóg... choć połowę dzieci zabrał.

Jakaż szkoda, że nie istnieje tu handel dziećmi, możnaby je dobrze sprzedać, lub przepić!

Zacni kapłani, wy winniście czuwać nad ludem, szczepić iskrę miłości w sercach ojców i matek, nakłonić ich by oddawali dzieci do szkół lub rzemiosła, by one przyniosły potem choć krzywną oświatę pod ciemną i zabrudzoną ich strzechę.

Wszak lud, to jedyna ostoja narodu i wiary, czemże będziemy gdy lud utonie w brudzie i ciemnocie i zaprzepaści resztki rodzinnej gleby.

Gdy do was przyjdzie taki stary lubieżnik dawać na zapowiedzi, niech się obudzi w Was godność pasterska i spytajcie się tego samca, jak ubezpieczył dzieci, które całe życie na niego pracowały, miasto ślubu, — kaźcie mu ożenić syna, i kołysać wnuki, w razie uporu posłać go do Kulparkowa a w ten sposób zapobiegniecie zgorszeniu publicznemu i zaskarbicie sobie serca biednych dziatek, których ślub starego ojca pędzi na żebry i rujnuje zagrodę.

I Zagorzyn należał do starosądeckiego klasztoru, w połowie XV-go wieku miała wieś sześć łanów kmiecyh, z których płacono czynsz rozmaity, dawano jednego koguta, dwa sery i dwa-dzieściu jaj z łanu, odrabiano »powabę«, dawano »osep«, — po miarce jęczmienia i dwie miarki owsa, oraz cztery grosze oprawnego.

Wszystkie role płaciły dzierżawę wartości pięć grzywien klasztorowi. Po kasacie majątku w 1785, przyszli tu Niemcy, katolicy z Bawarii, jeździli psami do kościoła w Łącku i dla nich prawiono kazania niemieckie. Jeszcze między rokiem 1870 a 1880, było ich tu wielu, ubierali się w polskie buty i granatowe surduty, — aż w naszym brudzie i nieuctwie zupełnie utonęli.

Ostatni potomek Niemców chodzi boso i mieszka w kurnej chacie; tyle zarobili Niemcy na asymilacji do naszej »chłopskiej« kultury.

Z chlubą należy podnieść, że nie było wsi, któraby tyłu wydała wykształconych ludzi, co Zagorzyn.

Stąd pochodzą śp. bracia Doktorowie Schmidtowie, jeden prezydent miasta Krakowa, drugi fizyk w Myślenicach, radca szkolny Walenty Myjkowski, prezydent sądu w Baniuluce, Piotr Myjkowski, radca skarbu, Józef Czarnek, niezliczona ilość księży, między nimi ksiądz Jan Zagorzyński, dziekan brzeżański w Podwysokiem, prawy Polak i pionier naszej sprawy narodowej, wreszcie Maciej Gibowski komisarz w Zborowie.

Spotykamy więc rodaków Zagórzańskich po całym świecie.

Starsi zdobywali sobie nauką stanowiska, młodszy pracować muszą w kopalniach Ameryki, bo rodzice nie dawali ich do szkół, ani do rzemiosła, a ziemia rodzinna wyżywić ich nie może.

Ze Zagorzyna posłuje na sejm krajowy Pan Wincenty Myjak, dzielny gospodarz i tęgą rzecznik spraw ludowych.



Maciej Gibowski, Zborów.



ks. Jan Zagorzyński.

Przed nami wznosi się wysoka, okryta dziewiczym lasem kopuła góry »Modyń« (1.038 m n.p.m.)

Na jej stokach rozsiadły się »Wola Kosnowa i Wola Piskulina« z przysiółkiem Paryż, który jednak nic niema wspólnego ze stolicą Francji.

Mamy stąd kilku uczniów gimnazjalnych, miłych i dobrych chłopców braci Antoniego i Karola Gromalów i Antoniego Mąkę. Mijamy te wsie i spieszymy na Modyń, — coraz wyżej i wyżej owiewa nas świeże górskie powietrze, w dwie godziny jesteśmy na szczycie.

Zbocza góry tej są niekiedy bardzo spadziste, ani marzyć, by się tu wdrapać.

Góra okryta rześistym lasem wiekowych jodeł i świerków, jest własnością Zagorzyna, Czernca i Łączek.

Na północ stąd rozciągają się płaszczyny łąk i pól, kędy późno świta wiosna, i wcześniej zapada jesień.

Szron nieraz wczesny przysypuje liche owsy i jarce i pozbawia górala owoców długiej i mozolnej pracy całego roku.

Dokoła urągają jego spracowanej dłoni i frasobliwemu obliczu, wierchy i pogórza osypane mrozem, szronem i śniegami.

Droga do Łacka jest wtedy bardzo uciążliwa, i nieraz muszą się wyrzec w czasie zawieji śnieżnej i mroźnej zimy, nawet nabożeństwa w kościele, jedynego urozmaicenia w swem szarem życiu.

Siedzą wtedy w swych kurnych chałupach, zasypanych śniegiem, często bez wody i chleba po kilka dni i trudno im doczekać »wiesny«.



Szkoły tu niema, wieczorami zimowymi przy bladym kaganku uczą się chłopskie dzieci czytać, na książkach do modlenia od starych gazdów.

Z Modyni prześliczny widok na Tatry, Gorcz, Lubań i góry sądeckie.

Stąd puszczamy się przez góry w poprzek, by zaglądnąć do Kiczni, — Odmienny tu porządek. — Domy porozrzucane po »roz-tokach« i parowach, wiele tu sadów jabłoni i węgierek, to też jesienią, w roku urodzaju cała wieś jest zajęta przy suszarniach. — Tu też przyjeżdżają kupcy z daleka, nieraz nawet i ze Lwowa, zakupują całe sady śliwek i wysyłają na kolej.

W wiosce tej było wiele szlachty szaraczkowej, lecz panowie szlachta, żeniąc się z chłopkami, dziś prawie zapomnieli o swem pochodzeniu.

Mimo tego niektórzy zachowali przecież swój herb rodowy, — np. Ossowski herbu Poraj, Jurkowscy, Dąbrowscy, Kałużni, Mrówki itd.

Nie wielu rodaków »kiczeńskich« starało się o zdobycie wiedzy. Z tych nielicznych: to śp. ks. Jurkowski zmarły w 1895 w Zawoi, brat jego Antoni Jurkowski, proboszcz w Mikoszwicach, który zawsze odznaczał się życzliwością i szczerością dla kolegów, gorąco ukochał lud i zjednał sobie jego serce. Wreszcie śp. ks. Wincenty Wnęk, proboszcz w Pstrągowej.

Przed laty dziesięciu powstała tu szkołka, która tu może rozświeci nieco noc i ciemnotę. — Ze wsi tej na uniwersytet uczęszcza Piotr, a do gimnazjum Tomasz Kowalczyk. Stąd już wracamy do Łącka.

Na zachodzie za Łąckiem w odległości 1 klm. spotykamy kapliczkę M. Boskiej, z obrazem malowanym na wewnętrznym murze, tak starym, że nikt nie pamięta ani twórcy obrazu, ani twórcy kapliczki.

Obraz, który można widzieć przez okno ma około metra wysokości, nałożony jest farbami niebieskimi, przedstawia Matkę Boską bolesną.

Kapliczkę tę odnowił śp. Witalis Chamiec, zmarły koło r. 1898, człek zacnego charakteru i rzadkich przymiotów duszy, były inżynier drogowy.

Tu przy tej kapliczce w zmierzchu wieczornym gromadzą się dziewczęta ze wsi, śpiewając rzewne a gorące suplikacje.



ks. Antoni Jurkowski.

W ciszy i zmierzchu wieczornym ożywia się kapliczka blaskiem skromnych świeczek i głosem hołych dziewcząt, a głoski pieśni »Matko odpuść... Matko ubłagaj... Matko przyczyni się za nami« — płyną gdzieś daleko, siwe fale Dunajca szumią zaś przepotężnie, rozgłośnie w wieczornym zmierzchu, przygrywając, niby na organach tej ubłagania proszącej, dziewczęcej pieśni.

Szumi tu Dunajec, ale szumi nieraz złowrogo, bo zabiera co roku najpiękniejsze grunta tej uroczej wsi... i będzie dalej zabierał, nim Wydział Krajowy ulituje się nad losem Czernca.

Tuż za kapliczką obszerne zabudowania gospodarcze, — to zagroda Jakóba Zbożnia, syna Marcina w Maszkowicach. Za nią rozciąga się prześliczny sad, — to sad Antoniego Ćwikowskiego, mimo woli przychodzi nam na myśl ta śliczna piosenka Lenartowicza:

»W sadzie dziadek już siwy,  
Wstrząsa drzewa, a dziatki,  
Zabierają do chatki,  
Gruszki, jabłka i śliwy«...



Antoni Ćwikowski.

Ćwikowski to wzór polskiego chłopca, gospodarza. Urodzony w roku 1844 w Czerncu uczęszczał do szkoły w Łącku, — podówczas jeszcze niemieckiej i w niej celował zdolnością i pilnością.

W 18-tym r. odumarł go ojciec, więc za zezwoleniem władz wojskowych ożenił się z Maryą Jaworską i rozpoczął ciężką ale wydatną pracę, na dwudziestokilko morgowem gospodarstwie. Już jako młodego gospodarza, obrano wójtem, członkiem rady szkolnej w Łącku i komitetu kościelnego. Urzędy te piastował kilkakrotnie, a dla swojego rozumu, nieskazitelnego charakteru, wydatnej pracy, zyskał szacunek i poważanie w gminie i okolicy.

Jego staraniom zawdzięcza Czerniec nabycie większej ilości lasu, niezbędnego dla gminy.

Miłując w szkole naukę, poznał jej korzyści i potrzebę, to też synom swym dał wyższe wykształcenie.

Najstarszy Dr. Stanisław, adwokat w Nowym Sączu, młodszy Franciszek, prof. gimnazjum w Nowym Targu, trzeci Jan kierownik szkoły ludowej, wreszcie najmłodszy Michał, po ukończeniu szkół w Nowym Sączu, osiadł na ojcowskim zagonie.



Jan Ćwikowski.



Dr. Stanisław Ćwikowski.

Oby więcej było tak światłych i tak obowiązki ojcowskie pojmujących kmiściów, — a czas oswobodzenia wnet nastąpi. Środkiem wsi wije się potok »Beniowski«, — we wsi domy mieszkalne i zabudowania schludne i obszerne, wskazują na trzeźwość i zamożność gospodarzy, z których prócz Ćwikowskiego wymienić należy: wójta Michała Sopatę na »Brzegu«, Kasprzaków, Piksów, Kuźlów, itd.

Wioska cała otoczona bujną zielenią regularnie posadzonych sadów, okrytych białym kwiatem na wiosnę, a rumianymi owocami w jesieni, — wygląda uroczo i malowniczo, i nadaje się najlepiej na miły odpoczynek letnikom.



Franciszek Ćwikowski.

Idąc dalej na lewo widzimy Dunajec, pokryty na brzegach łożyną, na prawo zaś towarzyszy nam wzgórze »Beniowy«, względnie kończyny Modyni. — Na tem wzgórzu tuż nad drogą wznosi się kilka lichy okleconych chat, zwłaszcza ostatnia przypomina chatę »Tumrego«. Z chatki tej pochodzi uczeń gimnazjalny, Antoni Kuziel, który własnej pracy zawdzięcza utrzymanie w szkołach, — toteż chatka ta może zawstydić niejedną bogatą zagrodę, — której właściciel »zdrowo« przepija swój majątek i nie kształci dzieci.



ks. Wincenty Piksa.

jaka, Lenartowicza, Królickiego, Kurzeję, Pasiudą, Szmiđą, Ungera, Biegańskiego, Wadowskiego, Ćwikowskiego i wielu innych. Po ukończeniu szkoły starosądeckiej i sześcioklasowego gimnazjum w N. Sączu udał się na dalsze studja do Krakowa.

Po wyświęceniu przez Biskupa Dr. Antoniego Gałęckiego, dnia  $23/8$  1863. spełniał chlubnie funkcje kapłańskie przy różnych kościołach w Krakowie, redagował wiele pism ludowych i religijnych, szeđł zawsze prawdą i pracą przez świat, toteż droga, którą stapał nie była wyścielona różami. Największą burzę sprowadził na siebie, wydaniem książki przeciwko szczepieniu ospy. Oszczędný dla siebie dawał hojnie tam, gdzie tego interes ojczyzny i nędza bliźniego wymagały. Od lat kilku bawi na emeryturze, w drogim mu zawsze Krakowie, przy ul. Sławkowskiej.

Pani Rozalia Chrobakówna, bardzo zdolna nauczycielka w Jazowsku. Rzađki to wypadek, by córka wieśniaka z zamiłowaniem oddawała się nauce i osiągnęła stanowisko nauczycielki.

Jedziemy dalej na tak zwane »Obłazy«; fale Dunajca obmywają białą pianą ich stoki.

Na południe, — na pięknej równinie za Dunajcem, pod górą zwaną »Skalka«, — rozłożyła się wieś Zarzecze.

Dokument św. Kingi z r. 1280. zapisuje tę wieś, jak i wszystkie już wspomniane, — na rzecz klasztoru w Starym Sączu. Tu po wojnie chocimskiej osiedliło się kilku jeńców tureckich, — nadano im nazwisko »Turków« i stąd wszyscy Turcy w Sądeckim się wywodzą.

Mimo wieków, zachowali swą rasę, — są wysocy, bruneci, i pracowici. W czasie trzeciego rozbioru Polski, — Turcy w Zarzeczu pierwsi poczęli uprawiać kartofle.

Prócz niego uczęszcza jeszcze do gimnazjum Jakób Kasprzak. — Z Czerńca pochodzi ks. Wincenty Piksa, syn śp. Józefa i Reginy z Dudów, rolników w Czerńcu, ur.  $4/7$  1836. Już w Łąckiej szkole zwrócił na siebie uwagę śp. Fruzińskiego, nauczyciela i śp. ks. Dr. Macieja Szaflarskiego, ówczesnego proboszcza w Łącku, jako chłopiec bardzo pilny, utalentowany i skromny, toteż ks. Szaflarski starał się wszelkimi sposobami nakłonić rodziców, by syna do wyższych szkół posłali. Ze sobą pociągnął ks. Piksa więcej chłopaków do szkoły w Starym Sączu i tak Daniela Kłaga, Jana My-



Dunajec oblewa Zarzecze, — od zachodu i północy — a w czasie wylewu odcina je zupełnie od Bożego świata i od kościoła.

Dlatego też ks. Piaskowy chciał tu zbudować kościół i osiedlić przy nim księży emerytów, ale gmina na to się nie godzi, bo wie, że z biegiem czasu na jej biedne barki, spadłby ciężar utrzymania kościoła i służby. Ks. Piaskowemu jesteśmy wdzięczni za ten projekt, ale wolelibyśmy, gdyby dla Zarzecza zbudował tanim kosztem przewóz na linie, a we wschodniej Galicji stawiał kościoły, gdzie jak »Gazeta kościelna« dowodzi, brakuje, — aż 75 parafij w stosunku do parafij ruskich, a lud ma do kościoła po 15— 30 klm.

Dziwna rzecz, że przez tyle wieków po zawarciu »Unii«, — nikt nie dbał o obrządek rzymsko-katolicki i polskość wschodniej Galicji.

To też osadnicy z pod Warszawy i z Wielko-Polski wynarodowili się tu i zruszczyli zupełnie.

W ostatnich czasach wybudowano w Krakowie i we Lwowie dwa kościoły, kosztem przeszło 10 milionów, — a na wschodzie brak dla naszego chłopu pieniędzy, choćby na skromny, drewniany kościółek. A jednak nikt nie zaprzeczy, że kazanie i pieśń polska utrzymała tu świadomość języka polskiego.

W ostatnich czasach, by nie drażnić Rusinów, a może z innych względów, — wprowadza się we wschodniej Galicji powszechnie łacinę, — a prześliczne psalmy Kochanowskiego, które lud tak ukochał i rzewnie śpiewał, — giną.

Dziś stawia się na chórze dwóch chłopów, którzy z organistą śpiewają psalmy łacińskie, dla ludu niezrozumiałe, — to też chłop nasz ucieka do cerkwi, gdzie w zrozumiałym dla niego języku Pana Boga chwala, — a nasze kościoły z dnia na dzień pustoszeją. Tak się dzieje rzeczywiście, — i kto dobrze zna duszę naszego chłopu, wie o tem z pewnością, że niczem się go prędzej nie wypłoszy z nieszpórów, — jak łaciną!

Winni też znać serce ludu jego pasterze i wiedzieć o tem.

Katusze za pacierz i modlitwę polską we Wrześni, obudziły u nas w ludzie poczucie narodowe i pragnienie polskiego słowa — nawet i w kościele, z tem winni się liczyć polscy biskupi i kapłani i nie winno im być dziwnem, że za wyrzucenie przecudnej polszczyzny psalmów Kochanowskiego, lud ma do nich szczery i serdeczny żal, że łacina nieszporna budzi oziębłość i chłód dla kościoła, że my i lud nasz cały kocha słowa i treść polskiej pieśni, a łacińskiej nie rozumie!

Przecie to samo było przyczyną tylu wojen reformacyjnych, a dziś w czasie walk o prawa narodowe i językowe budzi to gorszą może bezwyznaniowość.

Moglibyśmy prztoczyć tu nie jeden kościół, w którym w czasie

najdłuższych uroczystych nabożeństw nie usłyszy się słowa polskiego.

A przecież to niedawne czasy, gdy przy obrzędach kościelnych (np. przy komunikowaniu) używano mowy polskiej. Nie dziw więc, że lud odstręcza się od kościoła a w Królestwie garnie się do Maryawitów, posługujących się w liturgii mową polską. Rugowanie języka polskiego z kościoła przysposabia i w Galicyi grunt Maryawitom.



śp. kapitan Piotr Turek.

W Zarzeczu były dwa tołwarki zaściankowej szlachty Mieczkowskich, tu urodził się w r. 1821. Piotr Turek prawy Polak, kapitan wojsk austr. Uczęszczał do gimnazjum łacińskiego w Podolińcu, a na »filozofję« w Tarnowie.

Gdy z Tarnowa wracał do domu, pochwycili go Niemcy w Nowym-Sączu i oddali do wojska. W wojnie z Węgrami odznaczył się walecznością i dosłużył się rangi kapitana. Po wyśłużeniu 40 lat osiadł w Łącku i tu zmarł 6 grudnia 1885, spoczął więc w ziemi rodzinnej, którą tak gorąco ukochał.

Z »Obłazów« zjeżdżamy na dół drogą, która skręca się w lewo i tu roztacza się przed nami nowa prześliczna panorama górską, na granicy Czernca i Zabrzeży.

Był tu niegdyś młyn zwany u »Pojdra«, — a kilkanaście kroków wyżej karczma »Zazdrosna.«

Awanturniczy Dunajec podmywał w przystępach dobrego humoru kolejno te dwie ważne placówki. Uprzątnął naprzód młynówkę, a potem pewnej nocy uniósł i karczmę »Zazdrosną«, nie zostawiając po niej ani śladu. W karczmie tej mieszkał »Morðko Schein,« — ciekawy typ żyda, który zarabiał na życie nie kwaterką i szacherką, ale to jako cieśla, to kowal, to kotlarz, to znowu jako kamieniarz po okolicznych dworach i gorzelniach.

Wszechstronny ten mistrz sztuki budowniczej, — naprawiał prócz tego ręce i nogi i umiał opowiedzieć setki anegdot i epizodów z r. 1846 i 1863. Pamiętał i przechód Moskali na Węgry w r. 1848 i opowiadał barwnie zdarzenia z tego czasu, — szkoda Morðku, że byłem wtedy jeszcze młody i mało cię rozumiałem, dziś by było inaczej.

Ale cześć twojej pamięci bo choć po tobie i Zazdrosnej, prze-

szły fale czasu, słuchy o was między ludem nie giną. Morðko — to prawdziwy Jankiel z P. Tadeusza, a może, może więcej!

Za mostkiem na młynówce, już w Zabrzeży widzimy ogromną karczmę, niegdyś współzawodniczkę »Zazdrosnej«.

Karczma ta zowie się »Kałużna«. Przed nią na prawo leży młyn zwany »Zelij«, własność Słabaszewskich.

Nasza »Kałużna«, — to karczma sięgająca jeszcze czasów św. Kingi, bo w r. 1312 »Anna« przełożona klasztoru sądeckiego, przywraca sołtystwo w Zabrzeży Klemensowi, synowi Swarcona, który otrzymał takowe od św. Kunegundy z karczmą, półhankiem wolnym i trzecim denarem kar sądowych.

W r. 1631 »siedzi« na Kałużnej »wybraniec« królewski, Zabrzeński, — ze swoją szerokię serca małżonką.

Tu hetman zbójceki Mikula, — na czele dwudziestu drużyny, — ciągnął na Barcice, Gorcami nad Tylmanową i ze swą zgrają zdążył do Kałużnej, gdzie nieraz przepędzał miłe chwile z uroczą karczmą. — Na Kałużnej w karczmie schadzali się zbóje, — do których przystał brat karczmarki Wojciech i Maciej, godny jej synalek.

Tu gromadzili się Sopaciacy, ze Zbludzy i Twarożnik Stanisław i urządzili napaść na Arjanke, Dorotę Gabońską w Łukowicy. W roku 1848 Moskale rozłożyli obóz znów przed tą karczmą, — była ona wtedy własnością dominium Zabrzezkiego i dzierżawił ją Lustig, a w r. 1872 kupił ją Berek Krumholz z kilku morgami gruntu, z karczmą we Wietrznicach i prawem propinacji za 7.100 złr. Za prawo propinacji wziął Berek 6.000 złr. a za »Kałużnę« z gruntami i karczmą w Wietrznicach, — wziął od Mojżesza Steinera, rōdem ze Stopnic, 3.000 złr.

Kilkadziesiąt kroków dalej, przed karczmą na lewo, — stoi przy drodze skromny, deskami obity domek, to szkoła w Zabrzeży. — Gdy kółka rolnicze w Poznańskim w niedługim czasie po założeniu podniosły przemysł i rolnictwo, poczęto i w Galicji zakładać kółka rolnicze, — powstało więc i w Zabrzeży takie kółko w r. 1885.

Do handlu i przemysłu, trzeba jednak łączności i sprytu, poza tem pewnej nauki, — u nas zaś kółka oddano często chłopom analfabetom, nic więc dziwnego, że wiele z nich wkrótce upadło. Śp. Franciszek Huza, — wielki miłośnik nauki, postarał się o założenie szkoły w Zabrzeży, której tu przedtem nie było i umieszczono szkołę w dawnym domku kółka.

Stąd prowadzi brzegiem Dunajca uroczą drogą do Krościenka, a druga na prawo do Kamienicy. Wieś rozłożyła się nad drogą, wiodącą do Kamienicy. Idąc tą drogą, pod pagórką widzimy starą, wysoką kapliczkę, jakich nie brak na szlakach tatarskich w okolicy Sokala, Oleska i Kołomyi. Kapliczki takie w średnich wiekach za-



Szkoła w Zabrzeży.



stępowwały nasz telegraf, w razie napadu Tatarów zapalano na nich ogień, dając znak, że wróg się zbliża.



Kapliczka w Zabrzeży.

Obok tej kapliczki wiedzie drożyna na prawo w górę do osad Huzówka, Pokrzykówka, Kozikówka.

Na Huzówce mieszkał długie lata Franciszek Huza, o którym wspomniemy później. Wracając drogą nad dwór, na gościniec zwany »Górki« — widzimy pola uprawne, leżące w środku wsi i kamieńce rzeki Kamienicy, wpadającej tu do Dunajca. Po prawej stronie tej rzeki widzimy pierwszą ludną osadę Boczów, ta część wsi, rozłożyła się na stokach »Gorcza« — a pola jej zwrócone na północ są mało urodzajne. Stoki Gorcza poprzecinane są potokami, i na tych stokach wznoszą się osady tak zwane »zarebki«. — Po lewej stronie Kamienicy leży większy szmat ziemi uprawnej, sięgający aż na

stoki Modyni, gdzie rozłożyły się osady Paproć, Niżnia i Wyżnia, — a nad nimi wysoko na górze Beniowa. Wznoszą się te osady teraz jedna nad drugą.

Bliżej nad rzeką Kamienicą, w środku pól, wznoszą się większe zabudowania gospodarcze i młyn sp. Michała Kurzeji. —

Naprzeciw zagrody Kurzeji »zarębek« Groń, gdzie według Morawskiego, stało niegdyś jakieś grodzisko, czy zamek.

Dalej ku zachodowi wznosi się »zarębek« Wójciki, tędy wiedzie bliższa ścieżka do Ochotnicy. — Po przeciwnej stronie, wznosi się najniższa w Zabrzeży »Babia-Góra«, zwana tak może z powodu podobieństwa do królowej Zachodniego Beskidu. — Leży ona na tle wzgórz »Paproci«, której czub nad nią się wznosi. — Tu rozłożyły się trzy osady zwane »Babińcem«. Babiniec ten pamiętny z tego, że tu w r. 1873 wybuchła cholera i do 24 godzin porwała gospodarza Walentego Zabłockiego z ośmiu domownikami. Na cholerę zmarło r. 1873 w Zabrzeży 96 ludzi.

Druga z tych osad, — to Bandyki, tak zwane od właściciela Stanisława Bandyka, którego syn Antoni, ranny w bitwie pod Sadową postrzałem karabinowym w głowę, sześć lat nosił kulę między oponą mózgową, a czaszką. — Leczone go bezskutecznie w Wrocławiu, — wróciwszy do wsi, skarżył się biedak na ustawiczny ból głowy i to mu jeno ulgę przynosiło, gdy kładł się na ławce, zwieszając głowę niżej. — Po sześciu latach kula sama bez operacji wydobyla się z rany, gdy leżał jak zwykle na wznak na ławce z wytę odchyłoną głową.

Szczęśliwy Antoni żył jeszcze po tym wypadku 10 lat.

Trzecia osada, ukryta w pięknym sadzie za »Babią Górą« — to zagroda kowala Józefa Zabłockiego. Obok niego poza »Babią Górą«, prowadzi droga na Paproć.

Gościniec od domostwa kowala spada w dół, a nad nim wznoszą się majestatycznie »Wdżary«, góra podobna do Sokolicy w Piecinach.

Wysokością przenosi ona wszystkie przydrożne góry Zabzeskie.

Na jej wierzchołku siedzą sępy i orły, zataczają nad nią koła by ulecieć na sąsiedni Gorcz.

Naprzeciw Wdżarów po lewej stronie, widać skromne lecz schludne domostwo Piotra Zbożnia.

Brat jego Franciszek, Major, mile przepędzał tu lato. Tu na ścianach wiszą piękne obrazy naszych gospodarzy w strojach ludowych, — tu widzisz skrzynię wiejską, malowaną ornamentyką ludową ręką p. Majora.

Obok Zbożnia prowadzi droga na dalsze cztery zarębki: Słabaszową, Jarosza, Kluczniki i Równice.

»Słabaszowa«, to najbogatszy zarębek ze wszystkich, rodziły się tu kiedyś wyborne jabłka, gruszki i śliwy.

Na Słabaszowej zrodzili się i wychowali bracia Wojciech, Józef i Marcin Baziacy. Pierwsi dwaj po ukończeniu służby wojskowej wstąpili do Sądu i dosłużyli stanowiska dyrektorów kancelaryjnych. Pan Wojciech Baziak poszedł już na emeryturę i jako właściciel wielu domów, mieszka w Złoczowie. Pan Józef Baziak służy w Tarnopolu, wreszcie Pan Marcin, najmłodszy jest zarządcą podatkowym w Wieliczce i właścicielem pięknego domu z ogrodem.



Józef Baziak.



Marcin Baziak.

Najprzystępniejszy to zarębek Jaroszków, leżący tuż nad Kamienicą, — tu mieszka Józef Bulanda, — wdowiec po śp. Annie z Kurzejów, zmarłej w kwietniu 1910 r. i jego sąsiad Dybiec.

Na stromej górze rozłożyły się »zarębki« Kluczniki, — tam mieszkają »Kucie«, — a powyżej nich Równice, własność Karczów.

Idąc gościńcem od Zbożnia w górę spotykamy mały potoczek nad którym wznosi się wysoko osada »Potok«, — tu mieszka Jopek, sławny z kilkadziesiątletniego procesu z sąsiadem. Na pięknym wzgórzu za potoczkiem, wznosi się osada Gronik, — to niegdyś własność ubogiego chałupnika Tomasza Janczury, którego syn śp. Dr. Michał Janczura był znanym adwokatem w Nowym Sączu. — Był to człowiek zacny, wspierający hojnie ubogiego ojca i miło było widzieć, gdy stary ojciec wracał wesoły od syna Michałka, piechotą wprowadzić ale z dziesiątkami w kieszeni.

Syn swojej pracy wszystko zawdzięczał i mógł wspomóc potem nieraz ojca, a iluż to synów bogatych gospodarzy, marnieje bez światła nauki, w kopalniach Stanów Zjednoczonych i w plantacjach Brazylii?

Na zachód od Gronika, lecz jeszcze wyżej rozłożyła się majestatycznie osada »Dąbrowy«. Tu mieszkał Jan Gierczyk odważny i śmiały woźnica, który nieraz dalekie świąty oglądał. W 1871 odwoził mnie ten człowiek wózkiem góralskim i małym konikiem do Sanoka, 180 klm. w jedną stronę.

W 1872 r. w drodze do Tarnowa, na popasie w Posadowej oglądaliśmy razem dużą i jasną kometa. Jan wtedy frasobliwie przepowiadał pomór — i rzeczywiście w rok potem wybuchła cholera w roku 1873.

W 1908 r. odwiedziłem Gierczyka, przypomniła mi się i kometa i pomór, ale Gierczyk był już siwym, jak gołabek i niedługo potem zmarł w listopadzie ten najlepszy woźnica ziemi sądeckiej.

Obok drogi pod Dąbrowami, stoi kaplica św. »Urbanka«, — tu wytryska źródło, którego woda, jak wierzy lud, leczy oczy... Naprzeciw tej kaplicy, widać białą zagrodę śp. Józefa Bulandy. — Jako chłopiec dostał się on na dwór śp. Marszałkowicza w Kamienicy i tam tak biegle wyuczył się krawiectwa, że panu dziedzicowi, jak »warszawski mistrz« robił kontusze i czamary.

Po śmierci dziedzica osiadł w Zabrzeży. — Gdy w r. 1908. wracał z jarmarku w Łącku, »zawadziła« o jego wózek tłuszcza pijana na »Kałużnej« i kijami na miejscu zabiła.

Obok tej zagrody był lasek jodłowy zwany u »Ryźda«, — gdzie często urządził śp. ks. Pociłowski majówki działwie szkolnej. — Naprzeciw domostwa Bulandy jest zagroda Ryźda, w bardzo miłym ustroniu, nad brzegiem rzeki Kamienicy. — Tu wznoszą się odwieczne olchy, na których sejmikują burzliwie roje szpaków.

Kilkaset kroków od św. Urbanka leży koniec wsi, — to osada Faronów. — Pochodzą oni z Królestwa, — a osadziły ich tu zakonnice starosądeckie, nadając im mały kawałek ziemi, by za to utrzymywali przewóz na rzece kamienickiej.

Brali oni udział w walkach napoleońskich i w walkach o niepodległość.

W r. 1846 bronili Faronowie dworu w Kamienicy przed napadem wzburzonych chłopów. — Ród ten wydał wielu szyncerzy i rzeźbiarzy, — figury ich roboty zdobią wszystkie drogi ziemi sądeckiej. — Zagroda Faronów to najmilsze ustronie całej Zabrzeży.

Z tej zagrody pochodzi nasz zacny i powszechnie lubiany p. Wojciech Faron, komisarz w Nowym Sączu.

Na północ od ich osady spo-



Wojciech Faron.



tykamy jeszcze osady Muchy i Jaworów. — Tędy prowadzi droga na Beniowę. Po przeciwnej stronie osady Faronów, za rzeką na wzgórzu, mamy ostatnią osadę Zabrzeży »Dybcę«, które stanowią krańcową jej dzielnicę. — Tu mieszkał »czarownik«, zwany »Wikarym«, albo »Cycusiem«. W obszernej izbie i pod strzechą swego domu miał pełno figur świętych naturalnej wielkości.

Szalbierz ten cieszył się liczną klientelą głupiego ludu. — Prawie na grzbiecie góry nad Dybcami, stoi skromna chatka, otoczona brzozą, śliwami i kwiatami malw, podobna z dołu do orlego gniazda. — Mieszka tu sierota 16-to letnia Marysia, — przypominając coś z baśni o zaklętych królewnach, które były same, samiuteńkie.

Od jej też chatki rozciąga się przepiękny malowniczy widok na srebrną wstęgę Dunajca w dole, i kościół w Łącku.

Tu też jest kopiec graniczny trzech wsi, Zabrzeży, Ochotnicy i Kamienicy. Wielu ludzi urodziło się i zmarło w Zabrzeży, a że »pociągu« do zwiedzania świata Bożego »nijakiego nie mieli«, — nigdy tego uroczego zakątka nie oglądali.

Za potoczkiem Faronów poczyną się już wieś Kamienica, — uderza tu już widoczne ubóstwo gleby. — Wieś tę zabrał rząd klasztorowi starosądeckiemu w r. 1782 i administrowali nią Szalayowie do roku 1830.

W tym roku sprzedał ją rząd Józefowi, Karolowi Kirchnerowi za 42.000 złr. Ten zmarł w cztery lata później, — a najstarsza córka Kornelia drogą podziału objęła Kamienicę na własność, w cenie 90.000 złr. i wyszła za Maksymiliana Marszałkowicza, kandydata adwokackiego w Tarnowie. Marszałkowicz, człek prawy, rozumny i pracowity, osiadłszy w Kamienicy, podniósł wysoko wartość tego majątku.

By podnieść dobrobyt ubogich górali, pobożował tartaki, papiernie i kuźnice, dla których setki wozów jeździło aż na Węgry do Smiżan po surowiec. Kawał surowca, odlany na kształt progu kolejowego, nazywano gęsią. Góral brał na wóz zwykle dwie takie gęsi, które uderzając się nawzajem, wydawały pewnego rodzaju jęk żałosny, a kilkanaście wozów jeden za drugim z tym surowcem urozmaicały dolinę Dunajca i rzeki Kamienicy melodyjnym graniem. Za Kamienicą na Szczawie były w kuźnicach młoty, od ich stuku zdawało się, że Gorcz się zwali na kuźnice. Pierwsza huta zwała się na cześć p. dziedziczki »Kornelia«, drugą powyżej zwał lud gór-nemi »hamrami«. W tych wyrabiano już narzędzia żelazne, kuto wozy a całą pracownię kowalską prowadził Kurdziel, znany w okolicy jako niezrównany kowal. Tu mieszkał także leśniczy Hancł, zawołany naturalista, pasiecznik i wypychacz ptaków. W tych kuźniach zatrudniano kilkanaście rodzin »hamerników« Papiernia sama zatrudniała parę

set ludzi. Wyroby z tych fabryk szły w świat wozami lub Dunajcem. Do fabryk, gospodarki rolnej i leśnej utrzymał Marszałkowicz wielu oficjalistów, którzy wychowali dla kraju setki urzędników i rzemieślników. Dwór kamieniecki był przytułkiem dla ludzi, którzy w walkach o wolność stracili zdrowie i mienie. Tu długie lata mieszkał i zmarł r. 1857 Andrusikiewicz, organista. On to z ks. Kmietowiczem zorganizował powstanie w Chochołowie. Tu aż do sprzedaży Kamienicy w r. 1872 mieszkał p. Bossowski. Jego to w roku 1846 chłopci w Bocheńskim okropnie pobitego zawieźli do cyrkułu. Przesiedział on długi czas we więzieniu u Karmelitów we Lwowie i tam na przekór Niemcom z towarzyszami niedoli śpiewał ułożoną przez siebie litanię: Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zgładźże i tych wszystkich Niemców, by się tu nie rządźili, jak świnie w cudzym ogrodzie. Baranku Boży..... zgładźże i tego Niemca Pr.....na, który mi 100 złr. ukraść. Ze Lwowa przewieziono Bossowskiego do Szpilbergu, po amnestyi osiadł w Kamienicy.

Marszałkowicz, jako przyjaciel nauk, pobożował w swych wsiach szkoły dla ludu, a we dworze założył wielką bibliotekę w niej pracowało dużo uczonych, w niej też czerpał źródła dla Sądeczynny śp. Szczęsny Morawski, autor »Sądeczynny«, Aryan polskich i wielu innych dzieł.

Kamienica wydała licznych uczonych i ludzi piastujących wysokie stanowiska. Wspomnieć tu wypada o p. Szczepaniku, szefie sekcji w Ministerstwie kolei.

W lipcu r. 1872 przeniósł się Marszałkowicz do wieczności. Na pogrzeb zjechały się tysiące ludzi i setki, licznej jeszcze podówczas szlachty ziemi Sądeckiej. Gdy nieboszczyka wniesiono do kościoła i ustawiono wysoko na katafalku, wyszedł na ambonę z mową pogrzebową ks. proboszcz Huździcki, lecz silne wzruszenie nie dało mu mowy wygłosić, bo zaledwo się przeżegnał, zalany łzami zeszedł z ambony.

Jak skromny był żywot zmarłego, tak skromny pomnik z białego marmuru na cmentarzu w Kamienicy z napisem »Maksymilian z Brzezia Marszałkowicz ur. 1806 † 1878. Panie świeć nad jego duszą« wskazuje, gdzie wielki mąż spoczął.

Takie charakterystyczne żyły wychodziły z ówczesnych szkół, chociaż niemieckich; ale też wtedy siedział syn chłopca, szlachcica, mieszczanina i żyda na jednej i tej samej ławie szkolnej, tu się wszyscy bratali i łączyli do wspólnej pracy nad dobrem Ojczyzny i narodu. Dzisiaj inaczej. Odkąd wielki astronom Halać odkrył w dziecku chłopieckim, mieszczańskim i żydowskim bakcyła zepsucia moralnego, potworzył dbający o dobro poddanych, Metternich, cieplarnie dla hodowania latorośli szlacheckich. Z tych cieplarni wychodzą

rzeczywiście dobrzy i wierni poddani, bo wychowanek szkół takich daleki od poważnej i wytrwałej pracy, zamiast osiąść na glebie ojczystej zwiedza wszystkie zagraniczne uniwersytety (Monako) wreszcie osiadłszy we dworze, uprawia sport psi, koński i automobilowy, wycina las, parceluje majątek, wynosi się do miasta i spogląda tu z poza swego herbu, który mu jedynie pozostał, na współrodaków mieszczan i chłopów »bez szkło z góry« Gdzież jednak mają się wychowywać obywatele Ojczyzny? Myśleli o tem ludzie zacni i prawi, X. X. Czartoryski i Lubomirski chcieli na wzór angielski założyć szkołę dla synów szlachty w Lusinie pod Krakowem, ale dotąd o powstaniu tej szkoły nie słychać.

Zdaje się, że cieplarnie temu przeszkodziły, obawiając się konkurencji. Obawa ta zupełnie nieuzasadniona, bo poddanych przecie mogą cieplarnie nadal wychowywać, nam chodzi o wychowanie obywateli.

Z Kamienicy wracamy do Zabrzeży i obok zagrody Kurzeji przez rzekę idziemy do osady Boczów. Przed nią wygon zarosły topolami i wierzbami, zwany tu »Nawsie«. Na prawo stoi mała chatka w niej od wieków mieszkali Kurzeje, trudniąc się za czasów polskich i austriackich pisarką gminną, stąd też i późniejszych właścicieli tej chaty zwano pisarzami, chociaż nimi już nie byli.

Powyżej nad potoczkiem i na wzgórku stoją skromne zabudowania; to mieszkanie Franciszka Cebuli, dobrego kowala, ślusarza i rusznikarza. Tu mieszkał także dawniej bednarz Józef Karcz. Katarakta z czasem pozbawiła go wzroku, ale mimo to wyrabiał bardzo dobre i ładne naczynia drewniane.

W r. 1358 Konstancya, przełożona klasztoru sądeckiego sprzedaje sołtystwo w Zabrzeży braciom Pawłowi, Piotrowi i Janowi za 10 grzywien i dodaje im do tego sołtystwa wieś Boczów. Stąd wiadać, że Boczów w onym czasie był odrębną wsią.

W r. 1581 Boczów i Zabrzeż miały 3 łany kmiece, dwie zagrody bez roli, łan sołtysi i piłę, tran, który około r. 1810 zniszczono, a w roku 1900 Józef Janczura odbudował.

Gospodarstwa w Boczowie dzielą się na tak zwane role, obszaru około 32 morgów. Połowę tego obszaru zowią tu półrolem, a czwartą część »ćwirtką«. Ról tych było trzy: a oto: Kurzejowa, Bulandowa, Pierzgowa. Z początkiem 19 wieku połowa roli Kurzejowej, czyli t. z. półrole należało do Szymona Kurzeji. Zkąd on się na tem półrolu znalazł, kiedy i gdzie się urodził, niewiadomo, bo r. 1801 za plebana Woj. Mrozińskiego zgorzał kościół w Łacku a z nim spaliły się metryki. Szymon ożenił się w Żarzeczcu ze Zofią Turek, która przyniosła do Zabrzeży niedawne wieści o konfederatach i wojnach Kościuszki, opowiadała je tak barwnie i dokładnie, jakby się

na nie patrzała, chociaż konfederaci przed jej urodzeniem przechodzili przez Zabrzeż na Spiż a w czasie powstania Kościuszki była kilkuletniem dzieckiem. Niedługo obejmuje Szymon wójtowstwo w Zabrzeży i jako o dobro swej wsi dbały, tem mniej dworakom miły, często to wójtowstwo utracił. Był on zawołanym gospodarzem, ogromne sady, duża pasieka, stała owiec i bydła przynosiły mu znaczne dochody. Myśliwstwo, rybołówstwo na Dunajcu i rzece Kamienicy uprawiał z zamiłowaniem, ale przytem lubił i wódkę, po którą z baryłką pod pachą sam chodził na Szczereż, tam na kwartale w gorzelni sam ją gradował i do domu przynosił. W tym sprawunku nie pozwolił się nikomu wyręczyć. Wyrabiał bardzo dobre nalewki, niemi częstował gości i sąsiadów. W spiżarni nie zabrakło na zakąskę suchej domowej kiełbasy, schabów, serów i marynowanego łososia a w piwnicy syconego własną ręką miodu. R. 1848 Moskale rozłożyli obóz przed Kałużną a starszyzna wojskowa gościła się u wójty Szymona. On oprowadzał ją po swoim sadzie i raczył owocami. Wdzięczni Moskale, wracając z Węgier, o wójcie Szymonie nie zapomnieli. Był to najbogatszy kmieć w okolicy, z jego domu gość głodny nie wychodził, ubogi lub pogorzelec doznawał wsparcia, ba nawet i rząd austriacki, zaciągając podówczas przymusowe pożyczki, o wójcie Kurzeji pamiętał. Zmarł <sup>15</sup>/<sub>9</sub> 1855. Przed śmiercią opowiadał, że ma 77 lat, przeto jego urodzenie przypadałoby na rok 1778. Pozostała po nim wdowa Zofia zmarła <sup>27</sup>/<sub>1</sub> 1867 r.

Drugie półrole Kurzejowskie po ćwircie należało do Steców i Lipieni, na roli Pierzgowiej zasiał w połowie Tomasz Pierzga na dwu ćwircach Marcin Cebula i Tomasz Cebula. Na roli Bulandowej siedzieli na ćwircach Wojciech i Tomasz Bulandy, Józef i Franciszek Zbożnie.

Szymon Kurzeja zostawił czterech synów i dwie córki. Syn Józef najstarszy ur. r. 1809 po naukach w Podolińcu na Spiżu i Jagrze na Węgrzech został księdzem i jako wikary zmarł w Wiśniczu r. 1847. Drugi syn Michał ur. 1813 r. w roku pamiętnym straszną wojną pod Lipskiem i śmiercią ks. Józefa Poniatowskiego, ożenił się na zagrodzie pod Nr. 27 w Zabrzeży z Katarzyną, córką Macieja Karcza i Katarzyny z Bandyków. Trzeci syn, znów Józef, ożenił się na Wale w Łącku, wreszcie najmłodszy syn Antoni osiadł na półroli po ojcu Szymonie. Starsza córka poszła za Baziaka na »Wiele«, młodsza Marya za Tomasza Cebulę w Boczowie.

Zabrzeż z Wietrznicą zabrał rząd r. 1782 zakonnikom starośadeckim i r. 1799 sprzedał je Stefanowi hr. Skrzyńskiemu za 17.155 złr. Ten w r. 1801 sprzedał znowu Ignacemu i Apolonii z Grodzickich Chociatowskim za 71.000 złp. Chociatowski r. 1827 połowę tych dóbr darowuje Jakubowi Chociatowskiemu, a po śmierci Apolonii



Chociatowskiej druga połowa Zabrzeży przechodzi testamentem na Jakuba Chociatowskiego i jego siostrę Salomeę z Chociatowskich Myszkowską. Chociatowscy i Myszkowscy mieszkając w Zabrzeży, zapisali się krwawo w pamięci tutejszego ludu, toteż chłopci z radością powitali wiadomość, że dobra Zabrzeż w połowie nabył r. 1842 śp. Maksymilian Marszałkowicz.

Chociatowscy i Myszkowscy wynieśli się na Wolę piskulią ale niestety Zabrzeż wydzierżawił Berek Krumholz z Kamienicy i osadził w Zabrzeży rządzącego żyda, którego ludność dla ustawicznych przekleństw piorunem nazywała. Dwór, budynek drewniany o malowanych pokojach wznosił się poniżej wspomnianej kapliczki, w pięknym ogrodzie, przeciętym młynówką, za którą była duża alea grabowa, murowana strzelnica i altana. Na wzgórzu nad kapliczką, były obszerne piwnice, do których przywiązanych było mnóstwo podań o królach, skarbach i zbójach. Na tych piwnicach stał niezawodnie dwór w dawnych czasach. Zabudowania gospodarskie z kamienia a to, stodoły, stajnie, spichlerz o greckich słupach z lamusem i nieodczowny areszt »sodzą« zwany, były to budowle nowsze.



Michał Kurzeja, wedł. fot. z r. 1876. Michał Kurzeja miał ogromne zamiłowanie do nauki i pracy, był człowiekiem, który myślał zdrowym chłopskim rozumem i ten rozum kształcił. Osiadłszy na ubogiej zagrodzie Karczów r. 1848 wybudował młyn, zakupywał lasy w Ochotnicy i spławił Dunajcem drzewo do Tarnowa, prowadził handel solą i żelazem. Gdy tylko pierwsi synowie Mikołaj i Piotr podrośli, posłał ich do gimnazjum i od nich nabierał dalszej wiedzy. Owдовiawszy r. 1840, pojął drugą żonę Maryę z Dudów i z niej doczekał się liczного potomstwa. Znany we wsi i okolicy ze swego rozsądku i prawnego charakteru, zyskał sobie szacunek i zaufanie w szerszych kołach. Ks. Kasper Czekański, proboszcz w Łącku, porucza mu odbiór dziesięciny w Zabrzeży, około r. 1854 naczelnik powiatu w Krościenku Kozel, ojciec niedawno zmarłego ministra skarbu, powierza Michałowi pisarstwo gminne i odbiór podatków, przez długie lata pracuje wydatnie Michał w radzie powiatowej, za jego staraniem przychodzi do skutku budowa mostu na Dunajcu obok Gołkowic. Nie może on ścierpieć przykrego panowania żydów we dworze, więc z Franciszkiem Hużą i Tomaszem Cebulą jedzie do Kamienicy i prosi Marszałkowicza, by kontraktu dzierżawy z Berkiem nie odnawiał,

tylko Zabrzeż chłopom sprzedawał. Z trudem uzyskali oni przyrzeczenie dziedzica a trudniej było o 40.000 złr. które dziedzic za wieś żądał. Lecz ludzie ci nie stracili głowy, pozbiali swoje oszczędności, dali zadatek i szukali nabywców. Żydzi, dowiedziawszy się o tem, puścili bajkę między ludźmi, że dziedzic dla tego wieś sprzedaje, bo rząd wnet będzie panom grunta odbierał i darmo chłopom rozdawał. Ta bajka poskutkowała i wielu gospodarzy poodbierało zadatki, ale ci trzej mężowie nie upadli na duchu, pożyczyli pieniędzy w Banku włościańskim, wieś zapłacili a parcelacya już szła gładko.

Nie całą Zabrzeż kupili chłopci od razu, bo budynki dworskie i 20 morgów przylegającego do nich gruntu kupił wspomniany p. Bossowski dla siebie. W r. 1882 przeniósł się do St. Sącza i tę resztę dworu kupili chłopci, rozebrali stodołę i stajnie, nieszczęsny areoszt kupił Piotr Marek i dziś jego spadkobiercy w tej sódzy jabłka przechowują. Bossowski zmarł w St. Sączu około r. 1890.

R. 1872 wynoszą się żydzi ze dworu a Kurzeja z Cebulą przeprowadza parcelacyę. Dwie córki już wydał za mąż i mimo rat, które za nabyty grunt spłacał, dalszych synów Antoniego i Piotra młodszego oddaje do gimnazjum, bo też w Zabrzeży każdy chłop kochał naukę i dzieci i posyłał je do szkół. Między r. 1870 a 1880 Zabrzeż miało 8 gimnazjalistów, Huzy, Kurzeje, Baziaki, Faron, wreszcie Walenty Szczepaniak. Wszyscy żyli w Sączu bardzo ubogo, ale uczyli się dobrze. Najuboższy Szczepaniak wybrał się do gimnazjum w 20 r. życia. Człek pełen talentu a przytem pracowity nie zrażał się przycinkami, jakimi mu profesorzy dokuczali, ale uczył się pilnie. Gdy go jeden z profesorów pytał, dla czego tak późno wybrał się do szkoły, odparł, że lepiej później niż nigdy, gdy znów drugi mu rzekł, »ty bałwanie, pociś tak późno poszedł do szkoły?« Bym do śmierci nie został bałwanem odrzekł Szczepaniak. Zaciągnięta na 16 lat pożyczka spłaca się powoli, Kurzeja z Cebulą zbierają raty i odwożą do Sącza, aż wreszcie r. 1888 chłopci pozbywają się rat. W r. 1884 umiera Tomasz Cebula. Był to człek zacny i Polak prawy. Za młodu uczęszczał do gimnazjum w Podolińcu. Młodszym prawił dużo o konfederatach i Kościuszcze. Dnia  $20\frac{2}{3}$  1893 przeniósł się Michał Kurzeja do wieczności. Skromny krzyż dębowy na cmentarzu w Łącku wskazuje gdzie spoczął mąż, który kochał gminę, kochał swe dzieci i nie skąpił im nauki.

Wyrządziłibyśmy mu wielką krzywdę, gdybyśmy nie wspomnieli, że dom jego był zawsze otwarty. Do niego zjeżdżali się urzędnicy i myśliwi, bo zmarły był zawołanym strzelcem. Przyjście na świat młodych gończaków obchodzono tu uroczystie.

Polowania z gończakami w Zabrzeży należały do osobliwości ze względu na teren korzystny i obfitość zajęcy. Dźwięk rogu my-

śliwskiego i miłe granie tych psów, ożywiały góry Zabrzeskie. Dziś tam już głucho a gończaka na całym Podhalu nie znajdzie. Przeszedł i on do historii.



ks. Michał Zabrzeki.



Piotr Kurzeja.



Antoni Kurzeja.

Z synów Michała Kurzeji pozostają: ks. Mikołaj w Cieszynie, Piotr w Dobromilu, Antoni w Brodach, Karol odziedziczył jego zagrodę, Piotr młodszy i Franciszek w Krakowie, Ignacy zmarł r. 1877. Córki Katarzyna Pierzgowa, Marya Janczurowa w Zabrzeży, Salomea Babikowa w Maszkowicach. Druga jego żona Marya z Dudów r. 1890 spoczęła obok kaplicy na cmentarzu w Łącku, tam też spoczęły najmłodsze córki Małgorzata Potońcowa i Anna Bulandowa, ale pogrzebane obok ojca. Ks. Mikołaj dobijwszy się stanowiska, pomagał ojcu spłacać grunta i kształcić młodsze rodozeństwo. Znany on jako lekarz homeopata.

Zmarł Cebula, zmarł i Kurzeja, z tej trójki pozostał tylko Franciszek Huza. Przypatrzmy mu się bliżej:

Mały wzrostem, ale charakterem i duchem wielki, żelaznej mocy woli i stalowego zdrowia, z początkiem wieku XIX. na świat przyszedłszy, z początkiem XX. stulecia ziemskiej dokonał pielgrzymki.



Rówieśników swoich, wśród których w dziejach i życiu rodzinnej swej wioski wybitną odegrał rolę, przeżywszy lat wiele, jakby arką przymierza stał się między dawnymi a młodszymi laty i jakby jaśniejszą pozostał pochodnią żyjącej minionych czasów tradycji dla nowych nowego stulecia pokoleń.



Franciszek Huza.  
\* 1819 † 1904.

Jak ów »kmięć stuletni«, co »tracając kości żelazem oraczem«, stanął i zagrał na wierzbowej fletni pacierz umarłych, lub rymowym płaczem was głosił wielcy ojcowie bezdzietni—tak nieraz sędziwy staruszek wzrok swój tęskny w przeszłości zatopiwszy toniach i myślą w krainę uleciawszy pamiętek, z bogatego skarbca ogromnej nadzwyczajnej pamięci przecudne rzucał barwnych opowiadań klejnoty chciwie je chłonącym licznych słuchaczy zastępom. — To, na co sam patrzył, co sam przeżył, czego sam był świadkiem, jak również to, co od starszych a zwłaszcza od swej zasłyszał matki, wszystko wiernie i żywo przechowując w pamięci wymownemi chętnie opowiadał usty.

I słuchało się tej pieśni przeszłości raz rzewnej, tęsknej, wzruszającej, jakby smętnej śpiewki jaskółki lub mrużenia głuchego spokojnego potoczka, to znów żywiej, weselej, radośniej brzmiącej, jakby wesołego szczebiotania ptasząt w gajku na wiosnę lub wartkich fal Dunajca pluskania lub wesołością i dowcipem tryskającej, jakby szumu kaskad, wody potoka obok płynącego jego ukochanej Huzówki.

Był tam barwny a wierny opis zdarzeń prawdziwych tak ogólniejszego, jak lokalnego znaczenia, było opowiadanie płynne historycznych i osobistych faktów i wypadków, były legendy pobożne były wierzenia pogańskie i zabobonne, były przesłicznie odmalowane obrazki poetyczne, bajki zajmujące i zagadki ciekawe, a była tego taka rozmaitość, taka obfitość, że całe można niemi zapełnić tomy. Szkoda i wielka, że tego nie spisano, nie wydano, bo od bajek i opowieści Sabały zakopiańskiego te daleko były piękniejsze.

Ale nietylko duszą poetyczną i niezwykłą pamięcią obdarzył go Pan Bóg. Dał mu i rozum zdrowy, jak woda źródłana jego Bargiołka i energię do czynu i działania silną jak Dunajca prąd wartki i wolę stałą, niewzruszona jak głazy sąsiednich mu Wdзорów.



Za czasów pańszczyźnianych urodzony, lata młodości swojej w poddaństwie i pracy dla pana we dworze przeżył. A choć czuł dobrze, że »urodzony w niewoli, okuty w powiciu« — i wiosnę wolności włością z największą w swem życiu powitał radością, przecież nigdy nienawiść ślepa ku panom ku obszarnikom nie zagościła w jego sercu, jaka niestety liczne owładnęła rzesze ludowców i socyalistów.

Choć niewykształcony, bo szkoły nigdy nie widział, czuł i rozumiał, że jest Polakiem, a czując się Polakiem, kochał Matkę Ojczyznę, której historii chętnie słuchał, a później sam się czytania wyuczwszy, w niej chciwie się rozczytывał. Niezгода mawiał »do upadku przywiodła Polskę, niechże zgoda ją odbuduje« i powtarzał nieraz słowa poety: »to dopiero cudów cud, z szlachtą polską polski lud«.

A widząc, że lud ten acz nie ze swej, ale z panów i rządu winy ciemny, nieoświecony, a wskutek braku oświaty moralnie i materialnie, ekonomicznie i narodowo zacofany i nizko upadły, wołał i błagał o »oświaty kaganek« ustawicznie, zabiegał i kołatał o szkołę w Zabrzeży, której nareszcie doczekał się pod koniec swego życia.

Sam na sobie brak wykształcenia szkolnego odczuwając, własnym przemysłem nauczył się czytania, pisania i rachunków, a wszystkie swe dzieci bez wyjątku posyłał pilnie do szkoły, choć bardzo odległej w Łącku, aby jak mawiał żadne nie pozostało ślepe, bo ślepotą to największe kalectwo. Choć w ciężkich warunkach i z uszczerbkiem własnym, trzech synów wysłał do szkół wyższych. A kiedy jeden z nich notaryuszem, drugi księdzem, a trzeci respicjentem został straży skarbowej, cieszył się, że ich na »ludzi« wyprowadził i chlubił się nimi zawsze.

Zagrode po ojcu otrzymawszy w spadku, mimo klęsk kilkakrotnych ciężkich nieurodzaju ognia i mimo wydatków na utrzymanie i kształcenie 12 dzieci, pracą wytrwała, wyteżająca i ciągłą zachował całą, podniósł, a nawet powiększył znacznie przez nabycie kilku morgów gruntów dworskich.

Kiedy obszar dworski w Zabrzeży sprzedać miano, on pierwszy współobywateli poruszył i zachęcił by grunta dworskie wprost od właściciela zgodnie nabyli, aby dwór w ręce żydowskie się nie dostał, z których potem jedynie z nadwyżką lichwy ogromnej wykupićby go mogli.

Zabiegi jego i starania pomyślny uwieńczył skutek, cały obszar dworski przeszedł na własność chłopów, z których każdy paru morgami najlepszej gleby powiększył posiadłość swoją.

Projekt, by wraz z dworem nabyła gmina propinację dworską która jako złoty przedstawiała się interes i której nabycie dawało

gminie możność pozbycia się żyda będącego zawsze i wszędzie rozsądnikiem pijaństwa, wyzysku, zżyczenia i niemoralności wszelakiej, mimo przedstawięń prośb starego Huzy przez głupotę, krótkowidztwo, a może i złą wolę współobywateli jego nie został niestety zniszczony.

Coby on dziś powiedział, gdyby się dowiedział i zobaczył, jak niby światlejsi i oświeceńsi obywatele Zabrzeży dobrowolnie uchwalili w jarzmo niewoli karczmę żydowskiej poddać swe karki? O gdyby dziś ożył, umarłby na ten widok i w grób się położył.

Jak ziemię i zagon praojców, tak kochał zwyczaje, obyczaje i stroje dawne ludowe.

Postępu rozumnego przyjaciel i zwolennik gorący, wrogiem był nieubłaganym niepotrzebnych i szkodliwych nowostek.

Małowniczo wyszywaną i guziczkami cynowymi zdobną gurbanę góralską, szeroki sprzączkami wisteczkami mosiężnymi obwieszony pas i kapelusz mosiężnym otoczony łańcuszkiem, cały strój staroświecki z pietyzmem i dumą nosił aż do samej śmierci. Z żałością i wzgardą patrzył na młodszych, którzy w żydowsko-niemieckich tandetnych szmatach ubrani, w dzień świąteczny paradowali w drodze do kościoła.

Znała go nietylko wieś cała, ale parafia i dalsze okolice jako prawego, uczciwego człowieka, jako rozumnego i rozsądnego gospodarza, to też nic dziwnego, że wójtem chciano go mieć koniecznie i wszelkimi do przyjęcia urzędu tego zmuszano sposobami.

Że zmuszony, nie dla korzyści i zysku, nie dla próżnej chwały i zaszczytu ten urząd przyjął i dla dobra współobywateli swoich go piastował, wystarczy wspomnieć jeden tylko rok wójtostwa jego, rok 1873, w którym straszna cholera liczne porywająca ofiary panowała w Zabrzeży.

Z jaką odwagą, z jaką ofiarnością i poświęceniem oddawał się chorym, którym niósł słowa pociechy, pomocy i lekarstwo, opowiadają dziś jeszcze z podziwem i uznaniem we wsi całej. I gdy najbliżsi nawet obawą zdjęci opuszczali swych chorych i uciekali od umarłych swoich, on nieustraszony i niezmordowany jak anioł pocieszyciel od jednego do drugiego przelatywał chorego i wszystkich zmarłych własnymi rękami kładł w trumny i na wiejskim miejscowym grzebał cmentarzu.

Tę wielką miłość bliźniego już na tej ziemi mu nagradzając, dał mu Stwórca Wszechmocny zdrowie stalowej siły i długą, pogodną, jesień życia piękną i radosną, bo pozwoił mu widzieć wszystkie dzieci w zdrowiu i mające zabezpieczoną przyszłość.

Odszedł z tej ziemi do Boga po zapłatę wierny i dobry sługa za długoletnią i wytrwałą pracę pozostawiając w sercach wielu,

k którzy czcią, szacunkiem i miłością otaczali go za życia, szczerzy serdeczny i głęboki żal i smutek, oraz pamięć świętą, która niejedno jeszcze przetrwa pokolenie.

W krótkich, lecz trafnych słowach scharakteryzował go znający dobrze owce swoje i dla ich dobra poświęcający się pasterz ks. proboszcz Piaskowy: sprawiedliwym go nazwał — sprawiedliwym wobec Boga, sprawiedliwym wobec bliźnich i sprawiedliwym wobec siebie. — A rzadka to cnota!

Niechże jako sprawiedliwy wedle słów Pisma św. okryje się kwieciami jako palma i rozmnoży się jak cedry Libanu! Takich obywateli włościan daj nam Boże więcej!



Michał Huza.

wyborców, wyjednał w sejmie dla powiatu Grybowskiego kilkadziesiąt kilometrów dróg. Pan Rejent był również gorliwym członkiem komitetu budowy prześlicznego kościoła w Ciężkowicach.

Ks. Wojciech odznaczał się niebywałym talentem w gimnazjum. Toteż nawet po ukończeniu Teologii szlachta chciała go mieć nauczycielem swych dzieci. Na górze ukrzyżowania obok Kalwarii wynajmuje tam mieszkanie i uczy tam Litwinów, Żmudzinów i Kurlandczyków. Jako wikaryusz uporządkował bibliotekę kościelną w Zatorze. Obecnie osiadł w Grybowie i słynie jako dzielny kaznodzieja i prawy kapłan.

Najmłodszy Tomasz, znany z gorliwości służbowej, rzetelności i prawego charakteru, doczeka się zaszczytnego stanowiska w korpusie straży skarbowej. Biedny tylko drogi nam wszystkim ks. Walenty Szczepaniak. Ciężka choroba powaliła go w Mędrzychowie. Miejmy w Bogu nadzieję, że nasz złotousty kaznodzieja i dzielny pisarz jeszcze do zdrowia powróci i dla dobra Ojczyzny pracować będzie.

Synowie jego a to: Pan Michał Huza, ukończył wydział prawa na uniwersytecie w Krakowie. Praktykę notaryalną odbył w Jordanowie. Ożeniwszy się z Panną Bukowską, osiadł w Ciężkowicach i tu swym szlachetnym charakterem, uczciwą i rzetelną pracą dla dobra ogółu zjednał sobie miłość i zaufanie społeczeństwa. Po kilku latach przenosi się do Grybowa i miasteczko to zyskuje w nim najdzielniejszego obywatela. Nic więc dziwnego, że za poprzedniej kadencji wybrano go jednogłośnie posłem na sejm krajowy. W sejmie pracuje w wielu komisjach, a dbając o dobro swych



ks. Wojciech Huza.



Tomasz Huza.



ks. Walenty Szczepaniak.



Franciszek Zbożeń.

Wspomnieć jeszcze nam trzeba o dzielnym Zabrzeżaku, Panu Majorze, Franciszku Zbożniu. Podobnie jak śp. Turka, porwali i jego Austriacy r. 1863 ze szkół w Sączu i wcielili do wojska. Tam pracą i nauką i talentem dobił się stanowiska. W bitwie pod Sadową r. 1866 ranny, jako artysta malarz i rysownik, pracował lata w geograficznym Instytucie wojskowym i często zjeżdżał do brata Piotra w Zabrzeży ze śp. małżonką, kobietą zacną i urodziwą, która choć z domu Niemka, ukochała nasz lud i mowę polską i władała nią jak rodowita Polka.

Pan Zbożeń bawi na pensji w Baden koło Wiednia.



Zdawałoby się, że po wypłacie gruntów nastąpią w Zabrzeży jeszcze lepsze czasy, że gospodarze raty składane w Banku, obróćą na kształcenie dzieci w szkole i rzemiośle. Niestety! Złoty wiek Zabrzeży minął i poszedł z Hużą do grobu. Na wieś, liczącą 960 mieszkańców, największą w parafii, nie ma ani jednego studenta. Tu chłop orze swoim dzieckiem, jak murzynem, nie zajmuje się ani polityką, ani czytaniem gazet, grosz zarobiony przez dzieci i dochód z gospodarstwa dusi w skrzyni, aby, gdy w 70 roku życia. owdowieje, mógł się ożenić z 16 letnią dziewczyną i ją po sobie ubezpieczyć. Dziś całą politykę gminy kieruje mądrze a nieznacznie propinator. W czasie rozruchów r. 1898 chowali żydzi np. Wójta w Zabrzeży swą gotówką. Nie bierzemy za złe tego p. Wójtowi, bo nie jesteśmy zwolennikami polityki nienawiści, polityki mordu i rabunku, owszem w żydach widzimy tak samo ludzi, ale gdy się uwzględni, że, prócz Łącka, niema w całej parafii tyle żydów, co w Zabrzeży, bo aż cztery gniazda, to musi nas ogarniać obawa, że żydzi w tej wsi wyrządzą z czasem straszne spustoszenia materialne i że pomni dobrodziejstwa p. Wójta z wdzięczności obejmą kiedyś po nim zagrodę, a obawa ta tem bardziej uzasadniona, że p. Wójt swoich dzieci ani w szkole ani w rzemiośle nie kształci. Poskupywali oni tu dużo gruntów chłopskich. Braku serca dla swych dzieci, braku życzliwości dla chłopca katolika, wreszcie braku myśli i rozumu dali Zabrzeżacy dowód, głosując wszyscy za nadaniem szynku żydowi. To hańba! w całej parafii żadna wieś tak głupio nie postąpiła. Człowieka pracy i nauki Zabrzeżak nazwie wtedy bratem, gdy się za to spodziewa dobrej zapłaty. Skromna gotówka, to szczyt jego rozumu. Niezadługo w Zabrzeży odezwie się lokomotywa od Kałużny przyjdzie kolej do Szczawnicy i Kamienicy. Ma tu ks. Piaszkowy zbudować kościół z klasztorem dla XX. emerytów. To wszystko ściągnie tu jeszcze większą ilość żydów; by was Zabrzeżacy żydzi prędko z gruntów nie wyrzucili, obierzcie propinatora Mośka, którego tak skwapliwie przyjęliście do gminy, wójttem, a żyd wójt Was skutecznie przed zalewem żydowskim we własnym interesie bronić będzie i ze wstydu, choć żyd popchnie wieś na torę myśli i nauki, obudzi was z umysłowej spiączki. Tego dowodem burmistrze żydzi po miastach. Zabrzeż, to najpiękniejsza wieś z opisanych. Ludzie po pracy i mozołach mogliby tu znaleźć najmiłszy kątek dla wytchnienia i wypoczynku. Ale uciekajmy stąd, bo tu brak serca dla dzieci, dla krewnego i dla bliźniego. Książka i nauka ma tu wstęp wzbroniony, noc ciemna, zimowa zapadła tu zdaje się na zawsze, Zabrzeż nie wyda już studenta i uczonego, płodzić będzie jedynie niewolników dla Prus i Ameryki! A kto temu winien??!

Zabrzeż to jedyna wieś tej nazwy na ziemiach polskich. Na

Litwie w powiecie Oszmiańskim, nad rzeką Bodnarówką w gubernii Wileńskiej jest jeszcze druga wieś Zabrzeż.

Mijamy Boczów z prawej strony resztki Gorcza kończą się stromo, ich zbocza to piękne kamieniołomy. Na szczycie Czubań z piękną jaskinią. Z lewej strony szum tu czysty Dunajec a zanim wioska Zarzycze i dojeżdżamy do Wietrznicy. To również bardzo miłe i lubo ustronie. Za Dunajcem piękny las bukowy, Soblem zwany. Nad Wietrznicami wznosił się warowny gród, o którym Morawski wspomina w Sądeczyźnie. Droga skręca na zachód, mijamy uroczyska pałki brzoza porośnięte.

Na lewo rozciąga się nad Dunajcem piękna równina. Tu obozowali Szwedzi za Jana Kazimierza i armia króla Sobieskiego, ciągnąc pod Wiedeń, tu obozowali konfederaci i po nich zapewne pozostał tu kmiotek pochodzący z Podola, zwany Podolskim. Dom jego wznosi się pod górą nad stromym, skalistym i wysokim brzegiem Dunajca. I znów przed sobą mamy nową panoramę Tylmanowu i Lubania. Tu żegnamy cię nasz czytelniku i życzymy ci najlepszego wywczasu w Krościenku lub Szczawnicy.

## Oświata w parafii Łąckiej.

Powiat polityczny Nowo Sąddecki należy do pięciu powiatów Galicji, najbardziej pod względem oświaty upośledzonych. Najlepszym dowodem tego jest fakt, że na 160 gmin polskich, 60 nie posiada dotąd szkoły, a na 25 wsi ruskich zaledwie 3 wsie nie mają szkół. Bolesny ztąd wyłania się wniosek. Polacy, chlubiący się swą wyższą kulturą mniej dbają o oświatę szerokich warstw ludu, aniżeli Rusini. Może to dla tego, by nie było mowy o ruskiej krzywdzie? Wobec tego nie wiele da się powiedzieć o oświacie parafii Łąckiej. Być może nawet, że jest najbiedniejszą w szkołę ze wszystkich parafii całego kraju. Na 12 gmin, należących do parafii, 7 dotąd nie posiada żadnej uczelni! Trudno nawet przypuszczać, by gdziekolwiek mogło być gorzej.

Widocznem jest że stosunki zmieniły się na gorsze, bo początki szkolnictwa ludowego tej parafii sięgają bardzo odległych czasów. Najstarszą szkołą w tej parafii była szkołka w Łącku, zorganizowana jeszcze r. 1577 przez p. Dorotę Bylicką, ksienię pp. Kłarysek w Starym Sączu. Szkołę tę umieszczono w osobnym budynku, odstąpionym na ten cel. Nie można utrzymywać, by szkołka ta odpowiadała wysokim wymogom dzisiejszym, bo budynek szkolny służył zarazem jako szpital, tudzież jako mieszkanie organisty i dziadów

kościelnych. Nie było też fachowo wykształconych sił nauczycielskich. Nauki udzielał organista przy pomocy ks. Proboszcza. To też suma wiadomości, jaką uczniowie z niej wynosili, była niewielką. Dużo umiał, kto nauczył się czytać jako tako książkę drukowaną, a już za uczonego uchodził ten, co przyswoił sobie ministranturę, lub jeszcze zawilszą sztukę pisania.

Pamiętać jednak trzeba, że w owych czasach o powszechnej oświacie ludu nikomu się jeszcze na świecie nie śniło, nie mówiąc już o powszechnem uznaniu potrzeby takiej oświaty. Początek jednak był dany, a świadczy on chlubnie o naszych przodkach.

Czwarty już wiek mija od owej chwili, w której położono tu podwalinę pod gmach oświaty ludowej. Gdybyśmy więc tylko o tem wspomnieli, sądziłby niejeden że następczynie tej ksieni, względnie ludzie, miłujący oświatę, założą szkoły w dalszych wsiach i wytepią analfabetyzm, niestety rzecz się miała inaczej, co smutno o nas świadczy. Długie jednak lata jeszcze upłynęły, zanim szkoła ta rozwinęła się należycie. Stało się to dopiero w drugiej połowie XIX. wieku, gdy powstały Seminarja nauczycielskie, dostarczające szkolnictwu sił fachowo wykształconych, a zarazem zrozumienie potrzeby oświaty u szerokich warstw ludności wzrosło, powodując większy napływ dziatwy. Od tego czasu szkoła Łącka rozwija się szybko.

W r. 1856 zorganizowały ją austriackie władze szkolne, jako tak z. »Trivial-Schule« i przydzieliły ją pod nadzór c. k. starostwa w Krościenku. System nauki jednak pozostał taki sam, jak w czasie założenia przed trzema wiekami, gdyż i teraz nauki udzielał człowiek tak fachowy jak organista, któremu jednak już dodano pomocnika. Wydatki na utrzymanie szkoły czerpano z dodatków i procentów obligacyj wsi parafialnych. Ostatnim takim nauczycielem organistą był tu śp. Franciszek Fruziński zmarły około r. 1870, a jego pomocnikiem dotąd żyjący w Gołkowicach, p. Kasper Biegański. Ale i tak zorganizowana szkoła nie spełniała należycie swego zadania, gdyż szkoła dawniejsza owiana była duchem polskim, w tych zaś czasach stała się siedliskiem germanizacyi, starano się przez nią wykorzeńić uczucie polskości i odrębności narodowej u szerokich warstw ludu i zrobić z dzieci polskich przyszłych wrogów Ojczyzny. Służyły do tego ostawione »Sprach zeicheny«, była to tabliczka rozdawana między dzieci z poleceniem udzielania jej drugiemu dziecku, gdy przemówi po polsku. Kto taką tabliczkę przyniósł do szkoły, prócz plag otrzymał dużą tablicę, żółtą z czarnym osłem i z tą tablicą, zawieszoną na szyji musiał wracać do domu, naigrany przez gawiedź uliczną i zdemoralizowanych systemem szkolnym kolegów. W ten sposób wszczepiano w duszę dziecka jad szpiegostwa i denuncyacyi i starano się zabić poczucie godności narodowej,

ucząc, że miana Polaka i mowy ojczystej należy się wstydzić i wystrzegać jak zbrodni. Taka tablica z czarnym osłem była w szafie II. klasy szkoły Łąckiej jeszcze r. 1871 i nie wiadomo, co się z nią stało, a szkoda, że zginęła, bo mogła w muzeach szkolnych zdobić system austriackiego wychowania.

W r. 1873 przekształcono tę szkołę na dwuklasową. W tym czasie kierownikiem był tu już kwalifikowany nauczyciel, śp. Ferdynand Sosniak, człowiek wielkiej prawości, dbał o oświatę ludu, on to wielką liczbę synów chłopskich popchnął do gimnazjum. W 12 lat później dostaje szkoła trzecią siłę nauczycielską, r. 1893 czwartą, 1899 piątą, w r. 1901 szóstą siłę i tego roku przekształcono ją na szkołę czteroklasową o 6 siłach nauczycielskich.

Znacznie dawniej, bo jeszcze r. 1857. powstała szkoła w Zagorzynie, i ta po Łąckiej jest najstarszą w parafii. Mówiąc o szkole w Zagorzynie musimy poświęcić choć parę słów jej pierwszemu nauczycielowi, śp. Adamowi, Półkoźic-Czarnekowi.

Zmarły ur. 1823 w Krzywczu pod Przemyślem z Tekli Winnickiej i Józefa, którego Niemcewicz wymienia w pamiętnikach, jako swego kolegę ze szkół kadeckich, był jednym z 9 rodzeństwa, wychowany w szkole przemyskiej, gdyż ojciec jego, dawny oficer kawalerii, który brał udział w kilkudziesięciu bitwach Napoleońskich w Europie i Afryce, osiadł po



śp. Adam

upadku Napoleona w okolicy Przemyśla. Osierocony wcześniej zawdzięczał swoje dalsze wychowanie szwagrowi Robackiemu. Bardzo wczas, bo już jako 14 letni zaczął pracować na utrzymanie i zmienne koleje życia zagnały go do Łącka na posadę nauczyciela, gdzie w szkółce zasłynął ze swych zdolności pedagogicznych, umiłowania działalności i ludu. To też, gdy r. 1857 otwarto szkołę w Zagorzynie, zwrócili się do niego śp. Józef Myjak, dziadek obecnego Posła na Sejm kraj. i Józef Jaworski, z prośbą, by objął kierownictwo tej szkoły. Wskutek tego przeniósł się śp. Adam do Zagorzyna i pozostawał tam aż do swej śmierci r. 1889, kierując szkołą przez lat 32. Jak skutecznie i chlubnie spełniał swoje obowiązki, dowodzi najlepiej to, że wychował całe legiony ludzi, zajmujących jeszcze dziś wybitne stanowiska w społeczeństwie.

W r. 1901 powstają w parafii Łąckiej dalsze szkoły, a to w Maszkowicach i Kiczni a r. 1906 w Zabrzeży.



Przez długie lata młodzież męska, skończywszy naukę w Łąckiej lub Zagorzyńskiej szkole, spieszyła do szkoły St. Sądeckiej a ukończywszy tam kl. IV, zapisywała się do gimnazjum w N. Sączu.

Dziś zmieniło się to o tyle, że ze szkoły w Łącku idzie młodzież wprost do gimnazjum w N. Sączu.

Dzisiejsza szkoła w Łącku ma 6 sal naukowych i mieści się w dwóch budynkach, z których nowy wystawiono w r. 1907. Jako skromna szkółka ludowa, nie święciła nigdy szumnych i głośniejszych jubileuszków swego wiekowego istnienia. Nie wiele też o niej wiedzą po za parafią. A jednak choć w cichości i bez rozgłosu spełnia włożone na nią obowiązki w miarę sił swoich, niekiedy i nad siły, będąc często pozbawioną opieki jednostek, przodujących miejscowemu społeczeństwu, co gorsza napotyka ona niejednokrotnie na trudności, których źródłem małostkowe ambicje i brak ducha prawdziwie obywatelskiego u osobników, które miast przeszkadzać o jej rozwój starać się powinni.



Stanisław Wilkowicz.



Józefa Pawlikowska.

Nad rozwojem umysłowym przeszło 400 dziatwy pracują, jako kierownik, p. Stanisław Wilkowicz, Eugenia Iwancewowa, Bronisława Cabalska, Karolina Kwiatkowska, Woj. Śliwa i Edward Skoczowski, jako nauczyciele, wreszcie gorliwy pracownik i miłośnik dzieci ks. Józef Marzec, katecheta. Wspomiec tu musimy chlubnie o Pani Józefie Pawlikowskiej, która tu z wielką sumiennością i gorliwością udzielała nauki przez lat 25, tudzież o ks. Antonim Kurasiewicz, Proboszczu w Woli rzędzińskiej, który, pracując przy tej szkole długie lata, jako katecheta, popchał wiele młodzieży do gimnazjum.

Ilość dzieci w 3 niższych klasach jest znacznie większą od tych w klasie IV, mimo, że do klasy tej zapisują się i dzieci ze szkół sąsiednich. Przyczyna tą w tem, że dzieci uboższe poprzestają na ukończeniu klasy III. i idą na służbę lub do rzemiosła a klasę IV. kończą tylko zamożniejsi, mający zamiar uczyć się dalej. Dziwnem jest, że liczba tych szczęśliwców, którzy otrzymują wyższe wykształcenie jest dzisiaj znacznie mniejszą, jak w latach dawniejszych, kiedy szkoła Łącka nie posiadała jeszcze IV. klasy, gdyż ze zwrotem szkolnictwa i oświaty należałoby się spodziewać raczej objawu przeciwnego.

Winę przypisać należy brakowi zachęty ze strony właściwej. A i ci nieliczni prawie nigdy nie wracają na zagon ojczysty, lecz szukają chleba we świecie, to też oświata w parafii nie wzrasta tak szybko, jakby należało, przeciwnie stoi dziś jeszcze bardzo nisko. Nie dziw, że wśród starszych jest jeszcze dużo analfabetów, gorzej, że i młodzi nie starają się rozszerzyć wiadomości, nabytych w szkole, ale przeciwnie zapominają to, co się nauczyli i na starość już i czytać nie umieją. Przyczyną tego mała chęć do czytania książek po opuszczeniu szkoły, gdyż młodzież goni chętniej za rozrywkami niższego rzędu, przynoszącemi stokroć więcej szkody jak korzyści.

Nie brak usiłowań ze strony społeczeństwa, zmierzających do usunięcia tego złego. Do zaopatrywania ludu w książki są w parafii trzy czytelnie. Pierwsza w Łącku najstarsza, dziwnej doznała kolei losu. Założona za inicjatywą śp. ks. Pociłowskiego ze składek publicznych, zasilona później przez krak. Tow. Oświaty ludowej zostawała pierwotnie pod Zarządem szkoły i mieściła się w domu Kłaga na Kamieńcu. Nie ziściła pięknych nadziei, które rokowała. Przyczyny tego szukać należy w tem, że ją przeniesiono bez potrzeby na probostwo. Od tego czasu upadła ona zupełnie do tego stopnia, że jedyną pamiątką po niej, to napis zdobiący jedną z sal probostwa.

Przez to wyrządzono straszną krzywdę ludowi, bo na zgromadzenia i pogadanki została mu się jedyna karczma. A przecież ta czytelnia mogła stać się zawiązkiem domu ludowego, w którym obok czytelnicy mógł się znaleźć sklepik kółka rol. i gospoda chrześcijańska. Lud, gromadząc się w tym domu, zapomniałby dawno o karczmie i nauczyłby się używać straconego tam grosza na szlachetne własne cele. Tak postępuje duchowieństwo ruskie, które, budując po parafiach domy ludowe ze sklepem, szynkiem, czytelnią i salą teatralną, odzwyczaiło lud od karczmy i z chłopca lenia i pijaka zrobiło prawego i wzorowego gospodarza. Niestety u nas inaczej! Chłop musi w karczmie siedzieć.

Drugą czytelnię w Łącku założyło Towarzystwo szkoły ludowej. Obejmuje ona przeszło 300 dzieł treści powieściowej i popularno-

naukowej. Liczba czytających dochodzi do 100, a ilość dzieł przeczytanych do 1000 w ciągu roku. Z czytelnicy korzysta przeważnie młodzież szkolna, mniej starsi.

Trzecia czytelnia w Maszkowicach, założona przez krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej r. 1890. Zawiaduje nią gospodarz Pasiud. Ma ona 244 dzieł w czterech działach, korzysta z niej 30 osób, ilość przeczytanych książek w roku dochodzi do 300.

Większym popytem niż książki, cieszą się u starszych przeróżne gazetki ludowe.

Do uświadczenia narodowego ludu przyczyniają się odczyty, wygłaszane przez członków T. S. L. i teatr amatorski w Łącku, prowadzony przez miejscowego Poczmiistrza. Teatr ale nie cieszy się zbytnią frekwencyą ludu dla braku przykładu i zachęty z góry. Do najbardziej zasłużonych działaczy na polu uświadczenia narodowego ludu zaliczyć należy P. Dr. Chwaliboga.

Musimy wspomnieć jeszcze o szkole w Maszkowicach; Założona r. 1902 mieści się częścią w budynku gminnym, niegdys mieszkaniu gromadzkiego pasterza, pod górą zamkową, częścią w izbie, wynajmowanej co roku u któregoś z gospodarzy.

Do szkoły uczęszcza około 130 dzieci, płci obojga. Nauki udziela P. Adam Strugała z żoną, pracę mają nie lađa, gdyż dzieci tutejsze są umysłowo bardzo słabo rozwinięte, z powodu, że rodzice lubią zaglądać do kwaterki. Wielkim przyjacielem szkoły jest Jan Faron, długoletni wójt, z młodszych zaś Wojciech Pasiud.

Gdyby bogate Maszkowice były wsią ruską, miałyby już dawno murowaną piętrową szkołę. U nas o takich drobnostkach, jak szkoła nie ma kto myśleć.

Z przedstawionego stanu pojdziesz czytelniku, że z tego uroczego zakątka Żyndrama wyszło wielu ludzi w świat, że dawniej lud kochał tu swe dzieci i kształcił je. Wśród ciężkich warunków dawał chłop nie jednego, ale wszystkich synów do szkół i gdy ówczesne gimnazjum w N. Sączu liczyło do 350 uczni, to w tej liczbie najmniej 40 było z parafii Łąckiej. To też lud nie znał co pijaństwo, bo grosz musiał obracać na szkoły dla dzieci. Dziś w N. Sączu są dwa gimnazya, w nich do 1.500 studentów, wobec tego z parafii Łąckiej winno uczęszczać do szkół średnich na 11.000 mieszkańców przynajmniej 80 uczni tymczasem nie naliczyłibyśmy ich ani 20.

Smutne to bardzo, że syn chłopca, wybiwszy się na stanowisko, ma o wiele mniej serca dla ludu, niż szlachcic.

A ty polski chłopie nie czekaj, aż cię kto namówi dać syna do szkoły, daj go bez namowy, z własnej woli, dawaj wszystkich synów. Dziś wszędzie brak ludzi; w urzędach, w rzemiośle, przy Żandarmeryi, przy Straży Skarbowej itp. znajdzie twój syn lepsze

utrzymanie niż w Ameryce, przeto nie żałuj mu nauki, jak jej nie-  
 żałują żydzi i rusini swym dzieciom. Dziś wszystkie ludy zbroją się  
 w oświatę, wy drodzy rodacy nie pozostajcie w tyle.

## Kilka rysów z życia

śp. ks. Tomasza Pociłowskiego prob. w Łącku.

Śp. ks. Tomasz Korab Pociłowski urodził się w r. 1819 w Kleczy pow. Wadowice z rodziców Jana Kan-  
 tego i Anny z Kowalewskich. Ojciec  
 śp. ks. Tomasza pełnił podówczas  
 przez lat kilka w powiecie Wadowic-  
 kjm po różnych tamże Dominiach  
 funkcyę polityczną. Tknięty paraliżem  
 stał się niezdolnym do służby a wsku-  
 tek choroby zubożawszy, był przez  
 kilka lat na utrzymaniu brata swego,  
 Wincentego Pociłowskiego, ówczesne-  
 go Instytucyaryusza. W r. 1830 przy-  
 szedłszy do zdrowia, wydalili się z Ga-  
 licyi i udał się na Litwę, gdzie przy  
 pomocy znajdującej się tamże familii  
 spodziewał się znaleźć jakie zajęcie. Tymczasem na odgłos walk  
 o wolności ojczyzny, zaciągnął się w szeregi powstańców, i w je-  
 dnej z utarczek wzięty do niewoli, zesłany na Sybir, przykuty do  
 łańcuchów wraz z innymi towarzyszami ciężką znośił dolę, w zimnych  
 i ciemnych lochach Syberyi dokonał żywota swego.



ks. Tomasz Korab Pociłowski.

Wychowaniem i wykształceniem pozostałych 4-rech synów jego,  
 z których śp. Tomasz był najmłodszym, zajął się stryj ich Wincenty  
 Pociłowski.

Śp. ks. Tomasz uczęszczał najpierw do szkół normalnych  
 w Tarnowie a do gimnazjum w Podolińcu. Po ukończeniu filozofii  
 w kollegium OO. Jezuitów w Tarnopolu, czując powołanie do stanu  
 duchownego, wstąpił do Seminarjum kleryków w Tarnowie, gdzie  
 po chlubnie ukończonych studiach teologicznych, wyświęcony został  
 na kapłana przez Ks. Biskupa Wojtarowicza w dniu 24 paździer-  
 nika 1844 roku.

Biskupa Wojtarowicza usunął rząd austr. w porozumieniu z pa-  
 pieżem za to, że zakazał udzielać rozgrzeszenia uczestnikom pamięt-  
 nej rzezi roku 1846.



Następnie przeznaczony na posadę wikarego w Mikłuszowicach, Wojniczu i Ryglicach, całym sercem i zapałem młodzieńczej duszy oddał się pracy duszpasterskiej, budując wszystkich nie tylko swoim przykładnym życiem, pracą i gorliwością o zbawienie dusz, lecz także szczególniejszą miłością i opieką jaką otaczał chorych i biednych. Czytamy bowiem w świadectwie, jakie mu wystawił przy opuszczeniu parafii w Mikłuszewicach jego ówczesny proboszcz, honorowy kanonik Kapituły Tarnowskiej ks. Jan Zamierowski z daty  $\frac{1}{9}$  1847 L: 139. między wielu innymi pochwałami i tę: *W czasie epidemii i głodu, wyszukiwał po wsiach ubogie lub pozbawione rodziców dzieci, błagające się w czasie zimy, nagie lub obdarte, ginące z głodu lub zimna, zgromadzał do jednego domu i przez 4 miesiące to jest luty marzec, kwiecień i maj 1847. roku swoim własnym kosztem i uzebrany przez siebie u bogatszych chlebem karmił je i przypodkiewał i w ten sposób 40 dzieci od niechybnej śmierci uratował.*»

Będąc wikarym w *Wojniczu* równą odznaczał się gorliwością i tu równą miłością i opieką otaczał dziatki zaniedbane, ucząc je sam czytać i pisać i zakładając w parafii 3 szkoły parafialne.

Podobnie i w *Ryglicach* musiał się śp. ks. Tomasz odznaczać tymi samymi przymiotami.

Pomimo gorącej miłości, jaką młodzieńcze serce jego pałało dla tego biednego, ciemnego i zbałamuconego podówczas ludu, padł on ofiarą strasznej rabacyi, jaka w r. 1846 w Tarnowskim i okolicznych powiatach szalała. Skrępowany bowiem przez chłopów powrozami, wraz z p. Dominikiem Dąbskim i innymi panami wrzuceni na wóz drabiniasty, odstawieni zostali do »Cyrkułu« w Bochni. Na jednym z popasów pewna baba kijem nad nimi wywijiała i bezbronnych obić zamierzała.

Tę samą kobietę w jakiś czas, kiedy wybuchł tyfus głodowy, ks. Pociłowski na śmierć dysponował i widział własne jej dziecię upieczone, które ona przyciśniona głodem spożywała.

W 4 lata po onej strasznej rabacyi tj. w r. 1850 otrzymał ks. T. Pociłowski prezentę na probostwo w Brzozowej. Można sobie wyobrazić jakie tu wówczas panowały stosunki! i w jakich warunkach rozpoczął pasterzowanie swoje ks. Pociłowski! Kościół i lud zupełnie zaniedbany, serca w większej części zatwardziałe, ręce jeszcze nie obeschły z bratniej krwi niewinnie przelanej! Ale młody i sprężysty ks. Tomasz wziął się rychło po *swojemu* do dzieła, w krótkim czasie wypenił tę winnicę Pańską z chwastów i kąkolu gorącymi kazaniami swemi i naukami pobudził lud do pokuty za popełnione zbrodnie i umoralnił. Kościół odnowił i odmalował, wiele aparatów kościelnych częścią odnowił, częścią własnym kosztem

sprawił, dom mieszkalny i budynki gospodarcze całkowicie odrestaurował, prawo poboru drzewa i inne emolumenta, należące się probostwu, a uważane już od 20 lat za przepaść, odzyskał. Jak zaś za swoją pracę, gorliwość i czułe serce dla parafian był przez nich w ciągu 18 letniego swego pobytu w Brzozowej, kochanym i szanowanym i czczonym, niech świadczą o tem ich łzy, z jakimi go żegnali, odjeżdżającego w r. 1868 do parafii Łąckiej.

Smucili się i łzy wylewali po odjeździe swego proboszcza parafianie Brzozowscy bo stracili w nim najlepszego pasterza swego, ukochanego ojca i dobrodzieja, ale za to prawdziwym dniem wesela i radości był przyjazd i objęcie parafii przez ks. Pociłowskiego dla parafian Łąckich!

I ta parafia, położona w ślicznej nad Dunajcem okolicy nie była wolną od chwastów i kąkol. Co prawda echa dzikiej rabacyi nie znalazły tu posłuchu i górale tutejsi nie splamili rąk swoich przelewem krwi bratniej, owszem z oburzeniem, jak słyszeliśmy z ust naszych ojców i matek, przyjmowali wiadomości nadchożące z Tarnowskiego i okolicznych powiatów, natomiast inny robak toczył tutejszych parafian, tj. pijaństwo i nieodstępna jego rozpusta. Przeciwno więc tym głównym wadom wystąpił z całym zapamiętaniem kapłańskiego serca i szczytnego powołania swego.

Po dwakroć sprowadzał do Łącka Misyonarzy, sławni podówczas kaznodzieje ludowi jak ks. Ciszek, ks. Baczyński, ks. Dąbrowski z T. J. i OO. Rulemystoryści z Mościsk głosili niezmordowanie Słowo Boże, a lud się kruszył, spowiadał wyrzekał pijaństwa! Wkrótce też parafia zmieniła się nie do poznania. Lud zaczął więcej pilnować roli aniżeli karczmy, to też podniósł się materyjalnie. Pomyślał też ks. Pociłowski i o starożytniej Świątyni Łąckiej. Odszarował ją zewnątrz, dach i wieżę pokrył blachą, cmentarz kościelny otoczył wysokim murem, w którym umieścił 14 stacyi drogi krzyżowej, odnowił go też i na wewnątrz o ile na to fundusze starczyły, zrestaurował organ i dodał parę głosów, sprawił 3 harmonijne i duże dzwony, wiele aparatów kościelnych częścią odnowił, częścią nowe posprawił. Budynki gospodarcze i dom mieszkalny również do porządku przyprowadził. Ale praca jego nie kończyła się tylko w kościele. On szedł w lud, aby poznać bliżej jego potrzeby, jego bole i wady, i udzielić skutecznego lekarstwa. Szczególniejszą opieką otaczał biednych i chorych. Jego czułe serce nie mogło patrzeć obojętnie na nędzę ludzką, to też ubodzy mieli w nim prawdziwego ojca, a chorzy lekarza. Ileż to razy z jego kuchni biedni chorzy otrzymywali rosół, mięso lub mleko! Ileż to razy chorym sam aplikował okłady, kąpiele, zawijania w koce, bo trzeba wiedzieć, że ks. Pociłowski tak jak ks. Kneip, był wielkim zwolenn-

nikiem leczenia wodą, wiele też ludzi tak ze sfer niższych jako też i wyższych tej jego metodzie leczenia zawdzięczają swoje uzdrowienie nieraz z uporczywej i długoletniej choroby.

A kiedy w r. 1873 wybuchła straszna epidemia cholery, kiedy na widok tylu wypadków śmierci powstawała ogólna panika między ludem, ks. Pociłowski okazał się wówczas prawdziwym lekarzem ciała i duszy. Dniem i nocą, z narażeniem własnego życia i zdrowia uwijał się po parafii, zaopatrywał św. Sakramentami, własnoręcznie nacierał chorych w czasie kurczów, dawał lekarstwa, grzebał umarłych i pocieszał strapionych po stracie drogich osób. To poświęcenie się ks. Pociłowskiego w czasie cholery pamiętają dobrze do dziś dnia wszyscy jego żyjący parafianie. Uznało też to poświęcenie się i gorliwość ks. Pociłowskiego i c. k. Namiestnictwo, bo na ręce c. k. Starosty w N. Sączu takie nadeszło pismo dziękczynne:

Jego Excellencya Pan ck. Namiestnik wysokim reskryptem z dnia 18 b. m. L: 6745 pr. polecił mi, abym w Jego imieniu wyraził ks. Kanonikowi *uznanie* za poświęcenie, gorliwość i sprężystość, jakie okazałeś, jako komisarz choleryczny podczas panowania cholery w powiecie Nowo Sąddeckim, wywiązując się zaszczytnie z narażeniem własnego zdrowia i życia z trudnego zadania, *którego dla dobra kraju chętnie się podjąłeś*. Wykonując z przyjemnością niniejszem to wysokie polecenie, ja z mojej strony wyrażam Wiel. ks. Kanonikowi moje osobiste podziękowanie za gotowość, z którą na pierwsze moje wezwanie prawdziwie po obywatelsku w ciężkiej dla powiatu chwili ofiarowałeś Swoje usługi, aby odwrócić i uśmierzyć grożącą powszechności tutejszej klęskę». Proszę przyjąć itd.

Kurowski c. k. Starosta. Nowy Sącz d. <sup>29</sup>/9 1873 L: 9404.

I władza duchowna w uznaniu zasług, jakie ks. Pociłowski położył tak dla kościoła jako też i społeczeństwa, oraz dla jego osobistych zalet, zamianowała go najpierw dziekanem Łąckim, a pismem z dnia <sup>24</sup>/10 1877 L: 332 odznaczyła go przywilejem noszenia Rochetty i Mantolety wraz z pierścieniem.

Nic też dziwnego, że i parafianie patrząc na te zalety umysłu i serca swego Proboszcza, całem sercem ukochali go i przylgnęli do niego, piękna też harmonia panowała wówczas między Pasterzem a owieczkami. Z całem zaufaniem spieszyli do niego, już to by zasięgnąć rady w ważnych sprawach, już to uzalić się w niedoli, a on każdego chętnie przyjął, wysłuchał, poradził i pocieszył. A kiedy przyszły Święta Bożego Narodz. lub Wielkanocne, poważniejsi gospodarze spieszyli na probostwo, by swemu proboszczowi wynurzyć swoje życzenia, a On z wszystkimi łamał się opłatkiem lub dzielił święconem jajem i gościnie podejmował.



Szczególniejszego przyjaciela i opiekuna miała w nim ucząca się młodzież. Jeżdżąc po szkołach i widząc u chłopców wybitniejsze talenty, przedstawiał i zachęcał rodziców, by ich do wyższych szkół posyłali i niejednemu uczniowi sam materialnie dopomógł do ukończenia szkół. A kiedy ta młodzież zjechała się na święta lub na wakacje, cieszył się nią, chętnie się nią otaczał, robił z nią wycieczki w góry zapraszał do siebie, zachęcał do miłości Boga i ojczyzny, do walki z życiem, słowem urabiał w niej szlachetne charaktery. Lubiła go też i kochała ta młodzież jak własnego ojca. To też nigdy przedtem nie wyszło z ludu Łąckiego tylu księży, prawników, profesorów, Drów medycyny, i na innych znajdujących się stanowiskach, jak za pasterzowania ks. Pociłowskiego.

Znaną też była szeroko w kraju prawdziwie staropolska gościnność ks. Pociłowskiego. Tu na probostwie w Łącku znaleźli przytułek i gościnę przeznaczeni kapłani emigranci z król. Polskiego jak śp. ks. Wawrzyniec Centt.\* śp. ks. Seweryn Paszkowski, późniejszy kapelan domowy u śp. Andrzeja hr. Potockiego w Krzeszowicach i żyjący do dziś ks. Rafał Boryczewski. Tu aby odetchnąć świeżym powietrzem górskim i użyć kąpieli Dunajcowych przebywali męczennicy za wiarę i ojczyznę śp. Arcyb. Wileński Krasiński, ks. arcyb. Hryniewiecki. Tu po żmudnej pracy szukali odpoczynku i pokrzepienia sił przez hydropatya OO. Jezuici jak śp. ks. Załęski, ks. Długolecki, ks. Bratkowski, ks. Mycielski, ks. Hołubowicz i inni.

Tu też przepędzał wakacje twórca Chorału śp. Kornel Ujejski, który był serdecznym przyjacielem ks. Pociłowskiego i jego obrał sobie za spowiednika, przewodnika duszy. O tej szczerej przyjaźni, jaką żywił śp. Kornel Ujejski do ks. Pociłowskiego, świadczą wiele pisanych (a znajdujących się w rękach rodziny) serdecznych listów, świadczy wysłany przez niego telegram w dniu 50 letniej rocznicy kapłaństwa tej treści. »Gorliwemu kapłanowi, dobremu Polakowi, mojemu od wielu lat przyjacielowi, posyłam w dniu Jego 50 letniego jubileuszu kapłańskiego życzenia najdłuższego życia przy trwałem zdrowiu Kornel Ujejski«.

Widywaliśmy tu, wybitne osobistości tak z kraju jak i za granicą, które w przejeździe do Szczawnicy wstępowały na probostwo, aby

\*) Ks. Centt prawy kapłan i patriota za udział w powstaniu r. 1863. musiał uciec z królestwa do Francji. Tam, bawiąc czas dłuższy w Paryżu, roku 1870 przeżył oblężenie Paryża przez Prusaków, a przybywszy do Łącka, opowiadał chętnie, jak w czasie tego oblężenia ludność Paryża żywiła się szczurami. Był to ksiądz bardzo wykształcony, niezrównany kaznodzieja i miłośnik ludu, rodziców na każdym kazaniu zachęcał do kształcenia dzieci. By rozwinać u ludu miłość rodzicielską na kazaniach mówił do matek, aby szły do gniazdka, popatrzyły, jak biedna ptaszyna tuli swe młode i dba o nie. R. 1899. widziałem tego księdza ostatni raz w Krakowie.



odwiedzić i złożyć uszanowanie czcigodnemu kapłanowi, jak: śp. Marszałka kraju Żybkiewiczza, księstwa Sapiehów z Krasiczyna, śp. Prezesa akademii umiejętności Majera i wiele innych.

(O gościnności ks. Pociłowskiego niech poświadczy następujący autentyczny fakt: Pewnego razu w porze obiadowej zajechało na probostwo kilka powozów, przyjechała do Szczawnicy z Warszawy jakaś Pani Ordynatowa, staruszka z rodziną i Drem nadwornym razem 12 osób. Ponieważ w Łącku była tylko restauracja żydowska a ta Pani nie mogła nic u żydów jeść, więc poprosiła ks. Proboszcza o gościnę i obiad. Ks. Pociłowski w tej chwili kazał już przygotowany dla domowników obiad dać gościom, a domownicy musieli się zadowolnić kartoflami i kwaśnem mlekiem.)

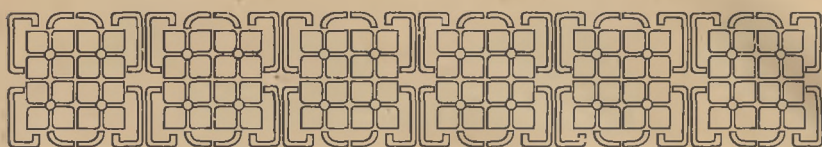
Wiekami i pracą nadwątlone siły poczęły coraz bardziej opuszczać ks. Pociłowskiego, to też przy końcu życia już prawie nie wychodził z pokoju, ale mszę św. odprawiał w kaplicy przerobionej z pokoju. Akiedy na wiosnę w r. 1898 zaświeciło słoneczko wiosenne chciał się trochę przejść po ogrodzie, przeziębivszy się dostał zapalenie płuc i po kilku dniach ciężkiej choroby zasnął w Panu w d. 6 kwietnia 1898. A kiedy dzwony z wieży kościelnej zwiastowały parafii tę żałosną nowinę, że ich Proboszcz nie żyje, powstał ogólny płacz i żal w parafii, a pogrzeb jego był jedną wielką manifestacją żałobną! Nawet żydzi, stojąc z daleka, rzewne łzy wylewali!

Zarzucają mu wyznawcy złotego cielca, że, będąc tak długo na bogatej parafii, nie pozostawił majątku.

My raczej poczytujemy mu to za zasługę, gdyż lud miał w nim piękny przykład, że jednostki, nie tylko o własnem swem powodzeniu pamiętać, lecz pracą i majątkiem do ogólnego dobra przyczyniać się winny. A ci z nas, którzy dotąd pozostają przy życiu, składają mu niniejszem hołd i podziękowanie za jego ojcowską opiekę, pomoc i zachętę w dalszem kształceniu się, dzięki czem osiągnęli swe stanowiska.

Piękna marmurowa tablica jaką wychowanek zmarłego ks. dziekan Jan Zagorzyński, w kościele Łąckim wmurować kazał, niech świadczy, że żył tu wzorowy kapłan, Polak i Obywatel.





## Kilka słów o ludzie tych stron.

Opisawszy po krótkce rodzime strony Zyndrama i dzieje tego zakątka naszej Rzeczypospolitej, poświęcamy na zakończenie choć parę słów ludowi tutejszemu, jako dziedzicowi tej ziemi.

Zakątek ten, należący w zamierzchłych czasach do Chrobacy, zamieszkiwał lud odważny i waleczny, jednak usposobienia łagodnego i w obejściu nader uprzejmy. Rosły jak jodła, silny jak dąb, nie zbyt białej cery, o włosach płowych. Mową i zwyczajami nie różnił się wiele od innych plemion, osiadłych od wieków na ziemiach polskich. Mieszkaniem jego były chaty, sporządzone z kijów, wbitych w ziemię, lub wydrążenia w skałach, jakie gdzieś tam gdzie przechowały się aż do naszych czasów.

Głównem zajęciem jego było pasterstwo, w szczególności hodowla bydła i owiec, wypasanych na łąkach i polanach, jakich w ówczas była wielka obfitość. Obok tego zajmował się też uprawą roli, głównie na wyrębie lasu, zwanym »wyrobiskiem« ziemię orał sochą lub kopał motyką. Obok tego lasy dostarczały mu dziczyzny, Dunajec ryb smacznych, polany górskie ziół leczniczych. Naczynia używał prostych, palonych z gliny lub wyrabianych z drzewa. Zmarłych palono na stosach a ich popioły składano w naczynia, zwane urnami albo popielicami i grzebano bądź w pojedynczych mogiłach, bądź na wspólnem cmentarnem uroczysku.

I wiara ich była taka jak innych ludów słowiańskich. Czcili jednego najwyższego boga, Światowida, wielką ilość bóstw podrzędnych i boginek, których nazwy przechowały się dotąd w ustach ludu.

Świątynie bóstwu stawiali na wzgórzach, wśród lasów w pobliżu źródeł. Służbę ofiarną spełniali kapłani i kapłanki. Z czasem zawitało i tu chrześcijaństwo, pierwotnie obrządku wschodniego. Powstały liczne cerkwie drewniane, a podania o nich krążą do dzisiaj. Gdy Mieczysław I. a z nim cała Polska przyjęła obrządek łaciński, wyparto ztąd powoli obrządek wschodni.

Łud tutejszy przybył w te strony prawdopodobnie z za Dunaju. Świadczy o tem nazwa rzeki, którą na pamiątkę swej dawnej rzeki nazwał zdrobniale Dunajcem, świadczą rozliczne śpiewki o Dunaju, żyjące w ustach ludu, jak np:

Dunaju, Dunaju zimna woda w tobie,

Od kraju do kraju gadają o tobie.

Stare gąski na poduszki a młode na Dunaj.

Przybycie nastąpiło prawdopodobnie w czasach najazdu Hunów i późniejszych Awarów, przed którymi lud uciekał, szukając schronisk w górach i lasach. Łud tutejszy zachował wiele podobieństwa ze Słowakami, mieszkającymi po drugiej stronie karpat.

Wiara rzym. kat. rozszerzana na Podhalu przez niemiecki zakon Cystersów w Łudzimierzu zapuściła głęboko korzenie w duszy ludu, natomiast germanizacya, którą niemieccy Cystersi zarówno z wiarą forsowali, spłynęła po wierzchu. Jako osad mętów germanizacyjnych pozostały po OO. Cystersach tylko dość liczne wyrazy pochodzenia niemieckiego, np. ju zy na (Jause:) podwieczorek, wyryktować (ausrichen:) zrobić, sporządzić, wykiwać, i wiele innych, używanych dotąd w mowie potocznej.

Nowatorstwa religijne jak Husytyzm, Luteranizm i Aryanizm szerzyły się i tu jak na innych ziemiach polskich, ale trwale się nie przyjęły, bo nowinkom tym hołdowała głównie szlachta, a z powrotem jej do katolicyzmu i chłop poszedł za nią.

Miejsca tutejsze, ufortyfikowane już przez samą naturę, nadto strzeżone przez liczne grody warowne, rozsiane po wzgórzach nad Dunajcem, były tem samem nieprzystępne dla licznych zawieruch i najazdów wroga, które w ciągu wieków niejednokrotnie przewalały się przez ziemie polskie. Tem się tłumaczy, że łud tutejszy zachował w nieskażonej prawie czystości swą gwarę i piękny strój rodzimy. Strój ten dawny składał się u mężczyzny w lecie z kapelusza pilśniowego, czarnego, ozdobionego szerokim paskiem, nabitym żółtymi guziczkami, zwanymi »cętki«, za które strojniś wypychał kogucie pióro, kwiat georginii, wreszcie sklepowy bukiet weselny, starsi, poważniejsi gospodarze nosili kapelusze jasno siwe, opasane sznurkiem z kutasikami, coś na kształt kardynalskich.

Na koszulę, zapiętą pod szyją spinką metalową, lub związaną wstęgą czerwoną i puszczoną po wierzchu spodni, ubierali starsi szeroki pas skórzany sięgający pod pachy z kaletką na fajkę, tytoń i krzesiwo, nabijany mosiężnymi guziczkami, kółkami i sprzączkami, prócz tego koszulę zapinano na piersiach dużą, tombakową spinką kształtu rombu, nieraz precudnie rzeźbioną. U szpinki tej palacze wieszali na łańcuszku również misternie wyrobioną przetyczkę do fajki. Na to wdziewano jeszcze kamizelkę granatową, wyszywaną

czerwoną wełną i mosiężnymi guziczkami. Młodzi nosili pasy szerokie zaledwie na 4 cm., ale za to długie, nabijane guzikami, otaczając kilka razy biodra, koniec tego paska spuszczano wolno z lewego boku. Bogaci ubierali buty, biedacy krypcę.

Wierzchni strój stanowiła sukmana biała z samodziału u starszych wyszywana na sposób krakowski (patrz na sukmanę Michała Kurzeji.) ozdobiona nadto cynowymi guziczkami i żółtymi koluszkami.

Młodsi nosili piękniej wyszywane gurmany kolorem czerwonym i niebieskim jednak bez ozdób metalowych.

Strój zimowy uzupełniał kozuch biały niekryty, kroju czamary u strojnisiów farbowany na czerwono, spodnie z białego sukna, kroju węgierskiego, wyszywane jak sukmana, na głowie czapka, rodzaj kuczmy podolskiej ale niższa, z czarnego baranka.

Nieodzowną częścią stroju u mężczyzn była fajka, bez której góral wogóle nigdzie, a zwłaszcza do kościoła się nie puszczał. Fajki te wyrabiane z drzewa gruszkowego, smukłe, wysokie, politurowane na ciemno pomarańczowy kolor, z przykrywką mosiężną z wieżyczką osadzone na krótkim wiśniowym cybuchu nazywały się »Skawickami«, zapewne dlatego, że wyrabiano je w Skawcach, a kupowano na odpuscie w Kalwarii Zebrzydowskiej. Starsi, noszący pasy szerokie, przechowywali habrykę (tytoń) w wyprawnym pęcherzu wieprzowym, w głębokiej kalecie pasa; młodsi używali kapciuchów z wyprawionej skórki króliczej, przyozdobionej w dolnej części cienkimi rzemykami, do których przywiązana nieodstępna a ozdobna przetyczka, metalowe guziki i koluszka.

Strój kobiety był także swojski, oryginalny. Koszula biała, bez żadnych ozdób, na szyji u bogatych korale, lub bursztyny, spodnica ciemna perkalowa, a na niedzielę i święto krakowski gorset, ozdobnie wyszywany. Kobiety ubierały na głowę czepiec, z białej chustki, której koniec (trok) spadał daleko na plecy. Dziewczęta okrywały głowy chusteczkami kolorowymi. Strój zimowy dla mężatek, to biały nie pokryty, krótki do pasa serdak, z gestą falbaną u dołu. Na serdak brała kobieta »rańtuch« tj. długie płótno, wyrabiane na kształt dymki, z falbaną po jednym boku. W te rańtuchy kazały się kobiety przed śmiercią ubierać do trumny.

Młodsze dziewczęta, zamiast serdaczków nosiły rodzaj dzisiejszej długiej zarzutki, z granatowego sukna, wyszywane na czerwono i zarzutka ta zwała się sukienka.

Tak mężatki jak i dziewczęta nosiły czarne buty z miękkimi cholewami, o wysokich napiętkach, podbijanych podkówkami.

Dzisiaj wszystko to uległo wielkiej zmianie, zaginęły kapelusze z cętkami, szerokie góralskie pasy, gurmany z guzikami, fajkę Ska-



wiecką i nieodstępного jej towarzysza kapciucha wyparty papierosy; znikają i spodnie góralskie węgierskiego kroju, a na ich miejsce wchodzi cienie z granatowego sukna. Jednem słowem miejsce dawnego stroju, tak pięknego i trwałego, zajmuje tańsza może, lecz o wiele brzydsza, zwłaszcza u kobiet tandyta miejska.

Z wyjątkiem stroju reszta trybu życia nie ulega tak doraźnej zmianie.

Łud tu jest przemysłowy, zręczny, przebiegły i w wysokim stopniu posiada zmysł obserwacyjny i umie się prędko oryentować tak w mowie jak i w czynie. Z mowy łatwo pozna człowieka, ale sam nie prędko wywnętrza się. W mowie jest delikatny, ugrzeczniiony, śmiały, w przyrzeczeniu skory, lecz w dotrzymaniu tegoż zmienny, zysku chciwy, w obcowaniu z drugim szczerzy ale interesowny, łatwo przekupny, uparty w postanowieniach czasem z własną szkodą, dumny z tego co ma, zimny na cudzą niedolę, a obojętny na nieszczęścia drugich, sam w nieszczęściu nie upada, w pracy wytrwały w zabawie wesół i ochoczy, lubi śpiew, muzykę lubi tany. Wesela chrzciny, imieniny odprawia huczno i wystawnie, bo góralowi o rozgłos chodzi. Łatwo się zapija, a prędej się wytrzeźwia, nie gardzi też cudzą własnością, VII-me przykazanie Boskie jest mało przestrzegane, u wielu wcale nie znane.

Góral jest pojętny, wyucza się łatwo różnych rzemiosł i umie je zastosować u siebie. Kobiety umia szyć ręcznie i na maszynie, dziergać i haftować. Góral jest dobrym myśliwcem. Polowanie rzadko który wydzierżawia, karty na broń nie kupuje ale dziczyznę często zjada. —

Wychowaniem dzieci zajmuje się o tyle, o ile chce je mieć przygotowane i uzdolnione do pracy gospodarskiej i posług domowych. Do szkoły posyła, by przymusowi szkolnemu zadość uczynić. Chodzi mu jedynie o przyswojenie dziecku sztuki czytania i pisania. Wiadomości książkowe nie są potrzebne każdemu dziecku, bo nie wszystkie będą księżmi, ani adukatami (adwokatami). Ten brak poszanowania cudzej własności i mały pochop do nauk stanowią ujemny rys tego ludu.

Podnieść tu również należy i to, że mimo dużego popędu do strojenia się mało uważa na czystość. Niktby nie uwierzył, że bogata gospoia, ubrana do kościoła w jedwabne chusty, w domu nie ma niezbędnej koniecznej ścierki, pamiętaj więc o tem gościu, gdy taka gospoia poda ci łyżeczkę do kawy, lub nóż do chleba, że oczyściła je swoją brudną koszulą, zwilżywszy nóż lub łyżkę śliną, zamiast wodą. Zechciejże raz zrozumieć ludku, że czystość i schludność, to pierwsze i najważniejsze przykazanie elegancyi. Na schludność pamiętajcie gospoie więcej niż na stroje.

Wolny czas od pracy obraca góral także na czytanie, chętniej na grę w karty, a najwięcej na pogwarę, którą lubi bo, w niej się nabaja dosyta.

Mowa ich jest twarda, jak ich życie, zwięzła, dobitna i obrazowa.

Mówi: póde, bede, bedemy, posiada wiele nazw, nieznanych w innych okolicach i w mowie książkowej, które widocznie z dawnych czasów w ustach jego się zachowały np. groń (pagórek) grońnik (pagóreczek) kolawa (błobo) młaka (rzańskie błoto) chodak (chłopiec) dziopa-dziopina (dziewczyna) kosina (koszyk) tyźnie (tygodnie) hawok, tutok (tu) z tela, z haftela (z tąd).

Za temat do pogadanki bierze wypadki z codziennego życia, zdarzenia z przeszłości w rodzinie lub na wsi zaszłe, lubi legendy, baśnie, ciekawe zagadki, opowieści, podania. Jeden opowiada, inni słuchają, lub kolejno opowiadają. Wtedy panuje nastrój poważny, czasem wymknie się słowo podziwu niedowierzania lub zapytania. Starcom lub ludziom uczonym dają zawsze pierwszeństwo.

Podania u ludu podzielić można na religijne i historyczne; pierwszych jest wiele, drugich daleko mniej. Jedne przechowały się w ustach ludu, sposobem tradycyjnym, drugie są wytworem bujnej ich wyobraźni i fantazyi, nacechowane nieraz niedorzecznością. Więc mówi o wielkoludach o Salomonie, o Sabie i jej prorocत्वach, o Panu Jezusie, i o św. Kindze. »Ludzie byli tak wielcy, iż z jednej góry na drugą ręce sobie podawali, lub lasy jak konopie rwali, lub wypijali rzeki do dna«. Opowiadania stroją w szatę epiczną. Prawią też chętnie o dawnych rozbójnikach, podziwiając ich siłę, wytrzymałość, zręczność, chytrość i przebiegliwość i zimną obojętność na widok mordowanych ofiar.

Baśnie o zakłętej królownie, o zakopanych skarbach, które tylko czarnoksiężniki odkryć mogą, o topielicach pięknych, gubiących ludzi, im ufających, o strzygoniach, błędzących nocą po górach, lasach itd.

Zabobon i czarownice żyją tu szczególnie. Od nich zawisła dojność krów, od nich utrata mleka. Góral nie szuka przyczyny w naturze, w przypadkach zasłabnięcia bydła, ale zmianę podoju kładzie na przychylności lub złości czarownicy. Z wiary w gusła i w zabobon chyba tylko postęp oświaty wyleczy kiedyś lud górski.

W czasie wesel, które ochoczo przy dobrym trunku i smacznej przekąsce i tańcu żywym szybko mijają, lud ku większej rozrywce, szczególniejsi starsi, lubują się w zagadkach dla zainteresowania siedzących wokoło stołu: np.

Idzie bez las nie suśnie, idzie bez wodę nie pluśnie?  
lub inna: Co po świętych w kościele?

Jak daleko leci zając do lasu?

Ojciec się rodzi, syn po dachu chodzi,  
W lesie ucięte, w domu ugięte, u koni bywało,  
do kobiet chadzało.

I bardzo wiele innych, których tu, jak grzybów po ciepłym deszczu, wiele.

Wesela urozmaica także śpiewem i śpiewkami, których ma wiele do każdej okazji.

Jak całe życie tutejszego chłopa było obliczone na przepych i blask zewnętrzny, tak też troszczy się o to »by go było jak nie chowali«. Dlatego zapisuje na pogrzeb i »za swą duszę« znacznie-sze kwoty i chciałby mieć pogrzeb jak »najparadniejszy« ale o tem, że pozostawia liczne, drobne dzieci, którym nie dał ani wykształcenia szkolnego, ani rzemiosła, wogóle sposobu do życia — pamiętać nie chce.

Jak dotąd widzieliśmy lud ten przy zabawie i uroczystościach. Zobaczymy, jak się zachowuje przy pracy? Na pochwałę jego przyznać trzeba, że i do pracy, jak do zabawy jest ochoczy i na trudy bardzo wytrwały.

Do roboty w pole wychodzi przed wschodem słońca i wraca do domu późno wieczór a w czasie pilnych zbiorów pracuje na polu i w nocy do księżycy. Wartałoby próżniaków wschodniogalicyskich, wychodzących w pole o 10 rano, zaprowadzić w nasze strony, niechby zobaczyli, jak się do pracy w czas wstaje i późno od niej na spoczynek wraca.

W żywym inwentarzu gospodarza koń zajmuje zawsze pierwsze miejsce; o niego dba gospodarz, jak o swe oko w głowie. Koń tu musi być zawsze piękny, dobrze oczyszczony i podkutý — konia powalanego wstydziłby się gospodarz wypędzić choćby na pastwisko; uprząż na koniu musi być koniecznie na sposób krakowski ozdobiona blaszkami, guzikami i zawsze czysta i schludna. Prawie każdego gospodarza konie mogą zastąpić wielkopańskie cugowe — nic więc dziwnego, że takimi końmi i na porządnym wozie jedzie tutejszy gazda ze swą gosposią dumny, jak niegdyś brat szlachcic na obiór króla Jegomości na Wolę pod Warszawę.

Na polepszenie gospodarstwa, zakupno gruntów, nasion ulepszonych narzędzi rolniczych itp. grosza nie żałuje i chodzi skrzętnie i zapobiegliwie koło powiększenia majątku.

Nie raz dla oczyszczenia majątku po rodzicach porzuca swą żonę i dziatki, idzie aż za morze i tam, pracując ciężko o suchym chlebie, przysyła grosz do domu na spłatę długów. Inni pracują w Prusach lub po okolicznych dworach, bogatsi zarabiają końmi w polu, na fartakach, wreszcie fiakierką.

Mieszkanie lubią obszerne i wygodne, to też budują domy duże



i wysokie. Sień wchodowa dzieli dom prawie na dwie równe części, w jednej izba czeladna, obok alkierza na sypialnię, lub na przyjęcie gościa przeznaczony — w izbie czeladnej kuchnia z kotłem, na łańcuchu wiszącym, stół i ławy do siedzenia. Często w tej izbie jeżeli nie ma komina, stoi było. W drugiej połowie izba duża, gościnna, w niej łóżko ze stosem poduszek, ułożonych jedna na drugiej, coraz mniejsze ku górze.

Spizarnia osobno, w niej skrzynie na zboże i na ubrania kobiece. Domy kryją dachówką lub blachą. Dom z drzewa świerkowego lub jodłowego, na podmurowaniu kamiennem. Stajnie przeważnie z kamienia, spajanego gliną, rzadziej maltą. Podwórze obszerne. Zawiasy, haki, zamki żelazne, kłańki u drzwi wchodowych mosiężne. Przed domem pod ścianą frontową ława długa do siedzenia dla domowników po pracy lub dla pogwarki świątecznej. W izbie gościnnej stołki trzcinowe, stół malowany, ceratą kryty, szafy na ubranie, szafka wmurowana w ścianę na naczynia stołowe, jak szklanki, społki, talerze i piękniejsze miski, na ścianie zegar, obrazy, widoki i fotografie w ramach oprawne.

Dzięki swej inteligencji i dużej pomysłowości spostrzegł lud tutejszy korzyści płynące z postępowego prowadzenia gospodarstwa, nie trzyma się też dawnej rutyny, lecz chętnie wprowadza ulepszone sposoby uprawy roli, o ile tylko miał sposobność z niemi się zapoznać. To też maszyny rolnicze, nawozy sztuczne nie są tu już rzadkością, mimo wszystko naszemu chłopu jeszcze daleko do tego postępu, jaki panuje w innych krajach np. w Czechach, Morawii, Śląsku.

Sadownictwo kwitnie tu od dawna. Okolica tutejsza głośną jest ze śliwek węgerek. I gdy lata sprzyjają, setki korcy śliwek bądź świeżych, bądź suszonych rozchodzi się stąd w dalekie strony, oprócz tych, które w miejscu idą na wyrób śliwowicy. Całe gospodarstwa, pagórki drogi, brzegi rzek otulone są śliwiną. Nie wymaga ona wielkiego pielegnowania a sama się rozmnaża. Śliwki pod względem dobroci i jakości nie ustępują bośniackiem i węgierskim, a pod względem smaku nawet je przewyższają. Domostwa tu ledwie swymi kominami wyglądają z gąszczy drzew owocowych. Spotkasz tu drzewa starej daty, rodzące owoce podlejsze ale i piękne odmiany renet, papierówek, hakwil, oliwek, różanek wirgińskich, grafsztynek, najliczniej zaś występują dwie odmiany sztetyn, które tu obywatelstwo uzyskały. Z grusz wyradzające się już witarnie, kilka odmian ber, góźieniegdzie ukazująca się plebanka i wiele innych, drobniejszych na pół dzikich.

Na polu sadownictwa wiidać tu wielki postęp. Obecnie nie wystarczą ogrody obok domostwa zaprowadzone, lecz pola w pobliżu



zamieniają się powoli w sadę. I gdy na tem polu praca tem tempem pójdzie dalej, cała okolica przedstawi się w niedalekiej przyszłości jak jeden ogromny sad. Lud tu przejrzał i przekonany, iż sad więcej zysku przynosi niż pole orne, chwycił się tej gałęzi przemysłu.

Zasługi na tem polu położyło kilku obywateli przez założenie ogrodów i szkoła w Łącku, która w tym kierunku niezmordowanie pracuje.

Działwa najstarsza tj. klasy IV. w godzinach nadobowiazkowych uczy się sadownictwa teoretycznie, a skoro tylko nastanie pora sprzyjająca, pracuje w ogrodzie. Tem nie tylko zaprawia się praktycznie, nabierając wprawy, ale nabiera i zamięłowania. To też pan Dyrektor Wilkowicz stara się, by ogród szkolny zawierał wszystko, ale zarazem ład i piękno. Działwa chętnie spieszy i pracuje ochotczo, widząc obok siebie zawsze pracującego swego nauczyciela. I gospodarze chętnie nabywają tu szczepy i naukę jak je sadzić i dalej pielęgnować, bo p. Dyrektor i w tym względzie nie żałuje trudu.

P. Dyrektora dziełem jest założenie kilkunastu ogrodów w okolicy. Szkoda tylko, że Wydział Rady powiatowej tak mało dba o podniesienie sadownictwa w swem powiecie. Wszak okolica najpiękniejsza zakryta górami od wiatrów i silnych mrozów, a mając glebę po temu, aż się o to prosi. Dla podniesienia sadownictwa również założyło się Towarzystwo z samych nauczycieli lecz i to kuleje, nie mając z nikąd pomocy pieniężnej. Aby praca szkoły na tem polu była pewniejszą, należałoby co rychlej w miejsce kursów rolniczych, o które się starano, założyć kursa ogrodnicze dla działwy dziś nauki dopełniającej a zimą wieczorami osobne nauki dla starszych gospodarzy którzyby chętnie na nią uczęszczali.

Sadownictwo w tej okolicy podnieść należy, bo ono tylko jedynie dobrobyt wzmoże i ma tu wielką przyszłość.

W chwili, gdy ta książeczka opuszcza drukarnię, czytamy w gazetach:

## Grunwaldzki obchód w Łącku.

Miasteczko nasze, położone w przepięknej górskiej okolicy nad Dunajcem, obchodziło dnia 3. lipca 1910. przy współudziale dzięsięciu gmin, należących do parafii łąckiej uroczystość ku uczczeniu 500-letniej rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Uroczystość rozpoczęła się nieszporami w kościele parafialnym, po których ks. kanonik Piaszkowy zaintonował pieśń »Te Deum laudamus« i wygłosił okolicznościowe kazanie. Następnie uczestnicy, uszykowani do pochodu, wy-

sluchali przemowy p. Dr. Chwaliboga, który w krótkich lecz serdecznych i gorących słowach zachęcał do walki z germanizmem, do walki tak samo pełnej poświęcenia i brzemiennej w skutki, jaką nasi przodkowie stoczyli z nawałą germanizmu na polach Grunwaldu. Pochód otwierała część banderyi w malowniczych strojach miejscowych, złożona z 80 koni, pod dowództwem p. Dr. H. Chwaliboga, następnie oddział kosynierów, składający się z 150 ludzi, których prowadził p. J. Kempa, dalej działwa szkolna, prowadzona przez nauczycielstwo, muzyka, sokoli, goście przybyli ze Starego i Nowego Sącza, ze Szczawnicy, Krościenka n. D. i innych miejscowości, straż pożarna, reprezentanci Towarzystwa Szkoły Ludowej, Towarzystwa kasynowego w Łącku, rad gminnych, wreszcie wyznaniowa gmina izraelska. Pochód zamykała druga część banderyi (80 koni) pod dowództwem włościanina p. Turka z Zagórzyna. Tak uszykowany pochód udał się do pobliskiej wsi Maszkowice, na wzgórzu, na którym ongiś stał zamek Zyndrama, dowódcy wszystkich wojsk polskich i hufców kmieci w bitwie pod Grunwaldem. — Ku uczczeniu pamięci wielkiego bohatera osadzono na wzgórzu, zwanem po dziś dzień »górami Zyndrama«, kamień pamiątkowy, na którym wykuto napis: »1410—1910 Zyndramowi — ziomkowie«. Nastąpiło odstonięcie kamienia, poprzedzone mową prof. Ćwikowskiego, który przedstawił znaczenie obchodu dla uczczenia świętego zwycięstwa. Burzą oklasków został przyjęty następny mówca, włościanin z Maszkowic, p. Jan Faron. Przemówił krótko, ale powiedział wiele, bo zaznaczył potęgujące się uczucie miłości ojczyzny u ludu, czego dowodem ten parotysięczny tłum ludu, przybyły ze wszystkich stron naszej parafii. by uczcić pamięć złamania potęgi krzyżackiej i oddać hołd wielkiemu bohaterowi. — Z powodu nadchodzącej burzy odbyło się przedstawienie »Kościuszkę pod Racławicami«, zamiast na górze Zyndrama, w sali Towarzystwa kasynowego w Łącku. Po przedstawieniu nastąpiła zabawa ludowa.

Tę notatką zamykamy naszą pracę. Skromna ona jakością i rozmiarami, lecz trudno na lepszą nas nie stać. Niech ona będzie dowodem przywiązania i miłości do rodzinnych stron i Ojczyzny, dowodem troski o jej przyszłość. Może kto inny, zasobniejszy w zdolności, potrzebne materiały i wolny czas, znajdzie w tej książeczce podnieętą do wydania obszernej i dokładniejszej pracy, o co serdecznie prosimy.

Wam wreszcie drodzy Rodacy dziękujemy serdecznie za to, że swym hojnym datkiem ułatwiłście nam wydanie tej książeczki, zaś lud nasz i rodzinne strony polecamy gorąco **Szanownym Towarzystwom szkoły ludowej i kółek rolniczych.**

Góralu! czy ci nie żal?  
 Ođchodzić ođ stron ojczystych?  
 Świerkowych lasów i hał  
 I tych potoków srebrzystych?  
 Góralu czy ci nie żal!  
 Góral na lasy spożiera  
 I łzy rękawem ociera,  
 I rzekł: Ha, darmo. Kiej trzeba!

Góralu! wróć się do hał!  
 W chacie zostali ojcowie.  
 Gdý ođ nich pójdiesz w dał  
 Cóż z nimi będzie, oj kto wie  
 Czyliż ci starych nie żal?  
 Góral jak dziecko zapłacze,  
 Oj może ich nie zobacze  
 Darmo! Paniczu, Kiej trzeba  
 Dla chleba, Panie dla chleba!

### Ż r ó d ł a:

- a) Zapiski rodzinne.
- b) Tabula Sądu obwodowego w Nowym Sączu.
- c) Sądeczyzna i Aryanie polscy Szczęsnego Morawskiego.
- d) Ks. Sygański T. J. Szlachta ziemi sądeckiej w czasach Wazów.
- e) Krzyżacy Henryka Sienkiewicza.



## Ważniejsze omyłki druku.

Strona	wiersz	zamiast	czytaj
6	16 z góry	w	we
7	1 z dołu	<i>dzień i krwawej</i>	i dzień krwawej
17	8 z góry	<i>Beczyński</i>	Baczyński
18	13 z góry	<i>zapomnie</i>	zapomni
19	17 z góry	<i>Zbożenia</i>	Zbożnia
19	11 z dołu	<i>Połonców</i>	Potońców
21	4 z dołu	<i>niemaż</i>	niemasz
23	3 z dołu	"	"
28	20 z góry	<i>praktykę</i>	praktyką
30	11 z góry	<i>mieszczącej</i>	mieszczącą
32	3 z dołu	<i>złu</i>	ilu
43	5 z dołu	<i>okleconych</i>	skleconych
49	8 z dołu	<i>wspomniemy</i>	wspomniemy
51	9 z góry	<i>piękegno</i>	pięknego
53	2 z dołu	<i>zafudniانو</i>	zatrudniano
54	11 z góry	<i>towarzszami</i>	towarzyszami
55	18 z góry	<i>stoi</i>	stoi
58	21 z góry	<i>miało</i>	miała
59	pod ilustr.	<i>ks. Michał</i>	ks. Mikołaj Zabrzski
52	5 z góry	<i>zniszczony</i>	ziszczony
65	11 z góry	<i>np.</i>	up.
67	8 z dołu	<i>ostawione</i>	osławione
65	1 z dołu	<i>denucyaćyi</i>	denuncyacyi
68	pod ilustr.	<i>śp. Adam</i>	śp. Adam Czarnek
69	15 z góry	<i>które</i>	którzy
70	8 z góry	<i>zwrostem</i>	wzrostem
70	16 z góry	<i>co</i>	czego
72	18 z góry	<i>Instycyaryusze</i>	Justycyaryusze
74	20 z dołu	<i>Rulemystoryści</i>	Redemptoryści
75	4 z dołu	<i>poważnizsi</i>	poważniejsi
75	2 z dołu	<i>rzyczenia</i>	życzenia
75	1 z dołu	<i>gościnie</i>	gościnnie
77	17 z góry	<i>zapalenie</i>	zapalenia
77	4 z dołu	<i>czem</i>	czemu
79	9 z góry	<i>któremi</i>	którymi
79	17 z góry	<i>ju-zy-na</i>	juzyna
79	18 z góry	<i>ausrichen</i>	ausrichten